

Koncept

magazyn akademicki

BROŃMY SWOICH GRANIC!

W POSZUKIWANIU EMOCJONALNEJ RÓWNOWAGI

BYŁEM TAKIM OMNIBUSEM

WYWIAD Z LEGENDARNYM TRENEREM

4-DNIOWY TYDZIEŃ PRACY

FANTAZJA CZY PRZYSZŁOŚĆ?



WIKTOR ŚWIETLIK



Kokaina dla dzieci

Mimo wieku i zgryźliwości rodem z łoży z Muppet Show czasem polskie media potrafią mnie zaskoczyć. Przede wszystkim swoją ociężałością. Oto w ostatnim czasie kilka tytułów odkryło, że na rynku jest nowy narkotyk... mefedron.

Nie to, żebym pana mefedrona chciał bronić. Możecie mi wierzyć albo nie, ale całkiem sporo ostatnio rozmawiałem z ludźmi, którym używki zniszczyły życie, a ich znajomi leżą na cmentarzach. Może o tym kiedyś napiszę coś więcej. Może nawet książkę, ale na razie wróćmy do narkotyku, który nasze media właśnie odkrywają w barwnych reportażach, z których niektóre trudno powiedzieć, czy zniechęcają, czy zachęcają.

Mefedron, tak dobry, ale bardzo zdradliwy przyjaciel niektórych z waszych przyjaciół jest już w Polsce dobre piętnaście lat. Kiedyś sprzedawano go legalnie w sklepach z dopalaczami. Z czasem wszyscy zaczęli zauważać, że od tych dopalaczy od czasu do czasu ten lub ów ląduje w szpitalu lub w kostnicy. Ówczesny premier, tak się składa, że ten sam co teraz, zamiast wziąć grupę biochemików, by zdiagnozowali preparat, urządzał konferencje, na których groził, czego to on tym "handlarzom śmiercią" nie pourywa, a media zajmowały się jakimś drobnym cwaniaczkiem z moich rodzinnych Pabianic, którego okrzyknięto "królem dopalaczy". To nie mogło dać dobrych skutków. Ratupek, częściowy nadszedł z zagranicy. W 2010 roku prawie wszyscy na raz mefedron wpisali na listę substancji zakazanych, kontrolowanych czy jakiś tam. I co dalej?

To samo. Naród toczył plemienny spór o legalizację medycznej marihuany, a wbijający w depresję albo wykańczający serce pan mefedron miał się w zaciszu jak najlepiej. Przecież

go zabroniono. Tani dyskotekowy proch nie budził sensacji takiej jak kokaina, która zresztą miała medialny come back za sprawą "Narcos". Po prostu był. Minister sprawiedliwości z przeciwnego z kolei obozu (zdrowia życzeń!) też urządzał głośne konferencje, no ale sprawa wymykała się polityce, więc po co było się nią zajmować.

Żeby było jasne. Dobrze, że się o tym mówi. Ale z jakim opóźnieniem. Spytajcie rodziców, czy w ogóle wiedzą co to, jak działa, jakie są objawy. Telewizje były zbyt zajęte sobą, by o tym mówić, a przecież narkotyk ani z PiS, ani z PO. Nasze media i politycy są jak anegdotyczny facet, który pobił Szweda na promie, bo się o "Potopie" z filmu dowiedział. I jest jeszcze jeden aspekt. Najpoważniejszy. Dziś bardzo często wykorzystuje się politycznie kwestię samobójstw wśród młodzieży, których liczba rzeczywiście w Polsce wzrasta, szczególnie uwzględniając, że młodych jest coraz mniej. Samobójstwa pomefedronowe są na swój sposób tajemnicą. Przecież nikt nie zgłasza, że zmarły brał narkotyki, ba czasem nawet najbliżsi nie wiedzieli. Przyczyną zostaje depresja, nerwica, kłopoty rodzinne lub w nauce.

Przejrzałem archiwa głównych gazet. O mefedronie było bardzo mało tekstów. Głównie, że gdzieś udaremniono produkcję, czasem ostrzeżenia wakacyjne. A przecież to od paru lat "top of the top". "Kokaina dla dzieci". Na każdą kieszeń. W ogóle kwestia narkotyków spadła gdzieś daleko, bo przecież jedni walczą teraz o mniejszości seksualne, inni o uchodźców, jeszcze inni o rolników. Nie ma czasu na pierdoły. Chyba, że coś się stanie. Ale wtedy też często sprawę się zmiata pod dywan. Albo robi z niej politykę.

Samobójstwa pomefedronowe są na swój sposób tajemnicą.

Nie ma próbowania



KRZYSZTOF KOTOWSKI
Redaktor naczelny

Zjemy w czasach niesamowitych możliwości. Prawie wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Nosimy w plecakach i kieszeniach urządzenia o mocy wielokrotnie przekraczającej superkomputery, które poniosły człowieka na Księżyc. Mamy przez nie dostęp do prawie całej wiedzy i kulturalnego dorobku ludzkości. Edukacja jest dostępna dla każdego, niezależnie od miejsca zamieszkania i zasobności portfela. Rynek pracy (choć nie pozbawiony wad) jest chłonny, a możliwości przebranżowienia dostępne jak nigdy wcześniej. Mimo wojny za wschodnią granicą i światowych niepokojów także bezpieczeństwo jest największe i trwa najdłużej w całej naszej historii. Czy jest idealnie? Zdecydowanie nie. Problemy również są wielkie. Ale naprawę uważam, że powinniśmy dziękować opatrności (albo losowi, w zależności od światopoglądu) za wyjątkowy czas, w jakim przyszło nam żyć.

Tylko coś jest nie tak. Wskaźniki szczęścia i życiowego spełnienia w krajach Europy nie rosną, a właśnie przeciwnie – maleją. Liczba osób usatysfakcjonowanych swoją pozycją zawodową praktycznie się nie zmienia. Liczba zawieranych małżeństw spada, a rozwody szybują w górę. Ostatnio natrafiłem także na najbardziej przerażające spośród tych badań. Okazuje się, że liczba młodych ludzi (18-29 l.), którzy uważają swoje życie za pozbawione sensu oscyluje pomiędzy 31% w Norwegii a 79% we Francji. I chociaż Polska (38%) jest wciąż u dołu stawki, to nadal jest to ogromna liczba młodych dorosłych, którzy nie wiedzą po co żyją i co z tym życiem zrobić.

Nie będę udawał, że znam wszystkie przyczyny takiej sytuacji i jakieś uniwersalne na nią remedium. Mogę tylko przypuszczać, że wpływ ma tutaj ogromny kryzys samotności podsycany przez splot relacji do znajomości w mediach społecznościowych, kryzys nuklearnie rozumianej rodziny i przebudowanie, do którego nasz gatunek nie jest ewolucyjnie przystosowany. W sprawie tego ostatniego wystarczy wspomnieć, że dzisiejszy człowiek odbiera w ciągu miesiąca więcej bodźców niż jego przodek z wczesnej nowożytności przeżywał przez całe życie.

Co zatem doradzić naszym Czytelnikom, ludziom czasu "kryzysu dobrobytu"? Przede wszystkim elastyczność. Warto skorzystać z bogactw technologicznych możliwości, a jednocześnie praktykować cyfrową higienę. Po przytłaczającej pracy wybrać wyciszającą rozrywkę. Zamiast „doomscrollingu” wybrać spotkanie z żywym człowiekiem. Zamiast natychmiastowej gratyfikacji – dopaminową ascezę. Przede wszystkim zaś zachęcam do odkrycia w sobie wewnętrznej potrzeby ciągłej poprawy i naprawy swojego życia, a zatem silnej wytrwałości. Takiej, o której mówił jeden z największych mędrców popkultury. „Rób albo nie rób. Nie ma próbowania!”

„Koncept”
magazyn akademicki

Wydawca:
Fundacja Inicjatyw
Młodzieżowych
Adres: ul. Solec 81b;
lok. 73A, 00-382 Warszawa

Strona: www.fim.edu.pl
www.magazynkoncept.pl

E-mail: k.kotowski@fim.edu.pl

Redakcja:
Krzysztof Kotowski
(red. nacz.),
Wiktor Świetlik,
Patrik Kijanka,
Przemysław Zyra,
Kamil Kijanka,
Tomasz Rykaczewski,
Gabriela Suchecka,
Igor Subocz,
Rafał Krawczyk,
Katarzyna Kotowska,
Wojciech Bielski,
Ewelina Makoś,
Marta Biedrzycka,
Marek Czertwan,
Maja Polak,
Patrik Puławski,
Bartłomiej Suchecki,
Kryśia Paszko,
Edyta Śpiewak i inni.

Projekt, skład i łamanie:
Shine Art Studio

Druk prasowy wykonuje
Drukarnia Helios s.c.

Aby poznać ofertę
reklamową, prosimy
o kontakt pod adresem:
k.kotowski@fim.edu.pl

Chcesz dystrybuować
„Koncept” na swojej
uczelnii? -> PISZ:
k.kotowski@fim.edu.pl

fim
Fundacja Inicjatyw
Młodzieżowych

PARTNER:

fundacja arp

ZNAJDŹ NAS:

@MagazynKoncept

@FundacjaFIM

@magazynkoncept

/fundacja
inicjatyw
młodzieżowych



8-9

2 // FELIETON

Kokaina dla dzieci

Wiktor Świetlik



10-11

3 // WSTĘPNIAK

Nie ma próbowania

Krzysztof Kotowski

5 // ONI MIELI KONCEPT

Bojowniczką o zdrowie

Katarzyna Kotowska

6-7 // TEMAT NUMERU

Raz nad wozem, raz pod wozem

Patryk Puławski

8-9 // WYWIAD NUMERU

Byłem, można powiedzieć, takim omnibusem

z Jacekiem Gmochem rozmawia Kamil Kijanka



20-21

10-11 // KONCEPT NA NAWYK

O wymaganiach sprzętowych

Przemysław Zyra

12-15 // ROZWOJOWY KONCEPT

Brońmy swoich granic!

Maja Polak

Co odręczne pismo mówi o człowieku

Krysia Paszko



12-13

16-19 // KONCEPT KULTURALNY

Z Arrakis na Tatooine

Bartłomiej Suchecki

Od aktora zależy znalezienie różnych barw

z Mariuszem Jakusem rozmawia Patryk Kijanka

Spis treści

20-21 // SPOŁECZEŃSTWO

Czy emigracja za Ocean to w dalszym ciągu American Dream?

Patryk Kijanka

22-23 // Z KONCEPTEM W ŚWIAT

Trybecz – góry owiane złą sławą

Kamil Kijanka

24-25 // KONCEPT NA WEEKEND

Zakopane znane i nieznanne

Wojciech Bielski

26-27 // KONCEPT NA TWÓJ ZAWÓD

Ile w ogóle powinniśmy pracować?

Tomasz Rykaczewski

28-29 // BONI ET AEQUI

Legal design

Edyta Śpiewak

Bojowniczką o zdrowie

Życie kobiety, o której chciałabym opowiedzieć od samego początku jej istnienia pełne było paradoksów.

Urodzona w 1854 roku w Mławie była dzieckiem dwóch światów – jej matka, Jadwiga Tomaszewicz z domu Kołaczowska pochodziła z rodziny, której członkowie angażowali się znacznie w sprawy niepodległościowe. Ojciec, Władysław Tomaszewicz był carskim żandarmem, dla którego krzewienie miłości do cara było obowiązkiem zawodowym. Pomimo tego, wyrosła w środowisku ciepła rodzinnego i małżeńskiej miłości, co mogło zainspirować ją do osiągnięcia swoich celów wbrew utartym schematom.

Przyszła lekarka miała piątkę rodzeństwa, w tym dwie siostry. Rodzice Anny wychowywali swoje dzieci dając im szansę na wybór swojej drogi – najstarsza siostra studiowała fizykę na Sorbonie. Finanse rodzinne pozwoliły na edukację jednej z dwóch pozostałych córek – Anny. Rozpoczęła się w jej życiu wówczas droga po wykształcenie.

Z SALONÓW DO HAREMU

Po powstaniu styczniowym rodzina przeniosła się do Warszawy, gdzie nasza bohaterka uczęszczała na pensję, którą ukończyła w 1869 roku. Przez następne dwa lata Tomaszewicz-Dobrska przygotowywała się u opłaconych przez rodziców korepetytorów, aby dostać się finalnie na wydział lekarski w szwajcarskim Zurychu. Był to wyjątkowy okres w jej życiu. Podczas studiów osiągnęła wiele sukcesów – podczas trzeciego roku wraz z doktorem Ludimarem Hermanem przeprowadziła badania nad wpływem chloralu na mięśnie. U boku Edwarda Hitziga zajmowała się zaś badaniami nad fizjologią mózgu w szpitalu dla chorych umysłowo, gdzie nieszczęśliwie zaraziła się tyfusem. Z choroby, pomimo

realnego zagrożenia życia, udało jej się wyleczyć. W 1877 obroniła swoją pracę dyplomową, w której zajęła się tematem fizjologii błędnika słuchowego.

Jeszcze podczas studiów dała się poznać jako charyzmatyczna i odważna młoda kobieta, która nie bała się sprzeciwiać publicznie wysoko postawionym mężczyznom. Osiągnięte sukcesy naukowe i referencje uznanych doktorów nie wystarczyły jednak, aby mogła realizować się w zawodzie w Królestwie Polskim, gdyż jej dyplom nie został tam uznany. Wyjechała do Petersburga, aby uzupełnić kursy konieczne do podjęcia pracy na ziemiach polskich, jednak również okazało się, że w międzyczasie wprowadzono przepisy zakazujące uznawania zagranicznych dyplomów. **Edukację udało jej się uzupełnić dopiero, gdy jako jedyna zgodziła się być lekarką w... mużmańskim haremie.**

Pobyt w Petersburgu był dla niej ciężkim czasem, pełnym biedy i przykrości. Poza trudami wynikającymi z jej płci i ogromnych ambicji, ze względu na przebywanie ze swoim bratem, Władysławem, któremu bliskie było towarzystwo socjalistów, interesowała się nią carska policja, co wykorzystywali szpicle wyłudzaający od niej pieniądze. Skutkowało to ubogim życiem i potrzebą bycia dokarmianą przez innych – nie miała bowiem czasu pracować ze względu na kształcenie się w ramach kursów.

SIŁACZKA MEDYCYNY

Do Warszawy wróciła w 1880 roku. Rok później wyszła za mąż za lekarza, Konrada Dobrskiego, z którym miała syna Ignacego. Początkom jej pracy towarzyszyło społeczne poruszenie w prasie oraz niechęć



KATARZYNA KOTOWSKA

personelu medycznego i pacjentów do kobiety „doktora” - Anna przecierała zatem szlaki swoim przyszłym koleżankom po fachu. W związku z epidemią gorączki połogowej udało jej się znaleźć pracę w przytułku położniczym nr 2 – na miejscu którego zostanie w przyszłości otworzony szpital św. Zofii, ciesząc się renomą w zakresie położnictwa.

Podczas swojej pracy w przytułku Tomaszewicz-Dobrska stale walczyła o zachowanie standardów higieny, właściwe finansowanie i przyzwoity poziom opieki okołoporodowej. Dbała o stosowanie w praktyce aktualnego stanu wiedzy i adekwatny do niej poziom przygotowania personelu medycznego, walcząc w ten sposób z praktykami magicznymi, które nadal były stosowane podczas porodów przez wiele akuserek. Poza pracą w przytułku pracowała jako lekarka szkolna oraz aktywnie udzielała się w Schronieniu Nauczycielek w Warszawie, szwalniach dla młodych kobiet z Warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńności i Towarzystwie Kolonii Letnich dla Dzieci. Warto wspomnieć, że jako pierwsza w Warszawie wykonała cesarskie cięcie. Przez całe życie pracowała na rzecz podnoszenia poziomu higieny i opieki okołoporodowej. Zmarła na skutek powikłań gruźlicy w 1918 roku. Pomimo, że przez całe życie prasa żywo się nią interesowała, wieść o jej śmierci przeszła niemalże niezauważona.

Jedzie wóz. Powożący nie może usiedzieć w miejscu.
Nikt mu nie powiedział dokąd jedzie, którędy prowadzi droga,
a na domiar złego nie bardzo wie jak prowadzić wóz i konie.

Raz nad wozem, raz pod wozem



PATRYK PUŁAWSKI

Wierzga, rozgląda się. Czasami coś zauważy, tak go to zachwyci, że aż podskakuje z wrażenia, niesiony chwilą unosi się nad drogą (wóz dalej jedzie). Powracająca trzeźwość umysłu boleśnie sprowadza woźnicę na ziemię. Nie ląduje na wiezionym sianie, wóz jest już kawałek przed nim. Bliskie spotkanie z twardą ziemią. Podnosi się, dogania wóz i jedzie dalej w nieznaną. Z rzadka udaje mu się wylądować na sianie i wówczas trzeba tylko odszukać leżce. Zdarza mu się wypaść z wozu, gdy w nadmiernej ciekawości sprawdza zawartość przydrożnych rowów - potem znowu trzeba dogonić wóz.

Metafora dosyć złożona, ale przyjmując, że jazda na wozie to złoty środek w sztuce życia, łatwo jest zrozumieć, o co w niej chodzi.

O BUDOWIE WOZU

Wóz ma cztery koła, cztery punkty podporu i jednocześnie cztery

ośrodki ruchu w ciągłym biegu. Opowiem o wybranych aspektach życia, bo artykuł jest zbyt krótki, żeby poruszyć wszystkie i żeby nawet wybrane opisać kompleksowo (szerokiej wiedzy można szukać w zewnętrznych źródłach, najlepiej w wielu pozycjach).

Ciało – zadbanie o jego sprawność, zdrowie i gotowość do działania. Intelkt – pojmowanie świata, a więc wiedza, obserwacja, wnioskowanie. Emocje – kręte ścieżki, którymi wędrują nasze sposoby interpretacji wydarzeń, a te interpretacje implikują nasze reakcje. Umiejętności – czyli co i jak robimy.

Jest teoria, że człowiek składa się z niezależnych części. Dzięki nauce wiemy, że ciało ma wpływ na umysł i odwrotnie, podobnie sprzęga się reszta „kawałków człowieka” we wzajemnych oddziaływaniach. Pomimo dostępnej wiedzy łatwo popadamy w skrajności. Jedni unoszą się nad drogą, drudzy zbierają kolanami z niej pył. Ekstrema, czemu ludzie tak bardzo sobie je upodobali? Chyba łatwiej odnaleźć się w czarno białym świecie, niż w jego barwnym odpowiedniku.

W ZDROWYM CIELE...

Kult ciała. Widziałem reklamę sklepu z odzieżą używaną. Baner wielki na całą ścianę budynku, a w centrum, a jakże, kobieta w ubraniach podkreślających zgrabne ciało.

Chłopaki i dziewczyny na siłowniach wyciskają z siebie siódme poty w pogoni za wymarzoną sylwetką. Podnoszenie ciężarów, treningi do upadłego, sterydy, a gdy mimo wszystko wygląd jest nie dość dobry, to na białym koniu wjeżdża chirurgia plastyczna, botoks, implanty.

Z drugiej strony inne wypaczenie. Kurs na źle rozumiane „body positive” prowadzi wielu do miejsca gdzie wymaga się akceptowania tego jak wygląda ciało - bez względu na wszystko.

Objadanie się, brak jakiegokolwiek ruchu, zaniedbywanie higieny skóry. Naśmiewanie się z takich osób w żadnym razie nie jest w porządku, ale pozwalanie im myśleć, że wszystko jest w porządku i otoczenie musi zaakceptować ich wygląd, także nie jest odpowiednie. Poniżanie kogoś i poklepywanie po plecach, gdy robi sobie krzywdę, to dwa różne sposoby na niszczenie ludziom życia. Z jakiegoś powodu głównie ten pierwszy jest piętnowany. Sprawa ma się podobnie z osobami, które się głodzą.

SCJENTYZM PO POLSKU

Kult wiedzy. Ukończone studia, kilka fakultetów. Tytuł naukowy wielu odbiera jako prawo do poczucia ważności. Człowieka bez dyplomu stawia się w tym świecie w drugiej linii, czasami nie zwraca się nawet zupełnie uwagi na to, co ma do powiedzenia. Tytuł i dorobek na-

ukowy decyduje o wartości osoby ludzkiej. Wymaga się poradzenia sobie w każdej sytuacji, pełnej samowystarczalności. Nie ma przyzwolenia na pomyłki. Prawdziwi profesjonalści przecież się nie mylą.

Negacja wiedzy naukowej, doszukiwanie się spisków i podstępów, nieufne spoglądanie na wszystkich ludzi spoza własnej strefy światopoglądu. Z drugiej strony bezkrytyczna wiara w każde słowo swojego osobistego autorytetu. Nie ma znaczenia, że skutki działań są odwrotne do oczekiwanych. Problem leży zawsze w postępowaniu mas, a doskonały sposób postrzegania świata jest zarezerwowany dla „wyznawcy”. Wiedza naukowa nie jest w takim przypadku szczególnie istotna, natomiast niezachwiana, ale bezrefleksyjna wiara stanowi oś ich światopoglądu.

WEWNĘTRZNE IMPERIUM

Emocje w istotny sposób informują organizm o rodzajach odbieranych wrażeń. Skrajnością jest wyparcie emocjonalności na poziomie rozumu i funkcjonowanie w duchu instrumentalizmu, suchego perfekcjonizmu i przedmiotowego traktowania ludzi i wydarzeń. Jeżeli emocji się nie uważa to istotny staje się tylko efekt, osiągnięcie celu, nie droga do niego, a straty w relacjach są niejako wpisane w taki sposób postrzegania świata.

Nie rozumieją tego rozdmuchani emocjonalnie „artyści” wędrujący na „skraju granicy zmysłów”. Każde drgnięcie wrażliwego wnętrza urasta do rangi przedstawienia. Radość jest głośna, wylewająca się na wszystkich w pobliżu, smutek powoduje zapaść emocjonalną i natychmiastowe odbarwienie uprzednio kolorowego świata.

MIĘDZY KANAPĄ A KORPO

Zasypanie obowiązkami i zajęciami, często nie ma czasu żeby złapać oddech. Sen staje się koniecznym obowiązkiem obniżającym efektywność biznesową. Spotkania, zadania, terminy. Profesjonalizm w tym co się robi, ludzie to cenią, to przynosi duże pieniądze, potrafi napędzać. Wewnętrznie czuć jednak

niespełnienie, jakiś brak. Rozwiązaniem zdaje się być dawanie z siebie jeszcze więcej, brnąć jeszcze bardziej w zadaniowość pozwalającą zapomnieć o trudnościach życia. Pieniądze rozwiążą przecież wszystkie problemy.

Przekąski przygotowane, zgrzewka napojów pod ręką, telewizor lub komputer działają od rana. Praca to zbędne marnowanie energii. Życie jest zbyt krótkie, żeby spędzać znaczną jego część na etacie. Własne przedsięwzięcie niesie za duże ryzyko, a wygrana w loterii pieniężnej jest bardziej prawdopodobna niż sukces zawodowy. Pieniądze ze świadczeń socjalnych starczą na zaspokojenie minimalnych potrzeb i taki człowiek wie swoje „bezs stresowe” spokojne życie.

OPRÓCZ KAJDANÓW NIC DO STRACENIA

Nie mam na celu wyśmiania jakiegokolwiek z tych postaw, bo nie chodzi mi o ich napiętowanie, choć kilka z nich nasza kultura naznacza słusznie jako niewłaściwe lub szkodliwe. Postępowanie człowieka rzadko wynika z błahych pobudek i lekkomyślnym jest sphycać je do

znaczkalenistwa lub głupoty.

Równowaga, spokój wewnętrzny i życie w zgodzie ze swoim „ja” nie jest zadaniem łatwym. Zawsze jesteśmy bombardowani treściami odwracającymi naszą uwagę, skupiającymi nasze zainteresowanie i wzbudzającymi emocje. Pogubiliśmy priorytety, brakuje nam wzorców. Mówi się dużo i głośno o wyzwoleniu kobiet, pojawiają się pierwsze ruchy wyzwolenia mężczyzn. Wyzwolenie spod buta świata, którego stworzony całokształt przypisuje się mężczyznom nie jest zadaniem łatwym. Wyzwolenie nie zaczyna się na manifestacji, a w każdym z manifestujących z osobna i to na długo przed manifestacją. Niestety mamy tendencję do zmiany kajdanów na pozornie szlachetniejsze, a przecież chodzi o pozbycie się ich raz na zawsze.





„Byłem, można powiedzieć, takim omnibusem”

Jacek Gmoch to żywa legenda polskiej piłki nożnej. Utytułowany trener podzielił się z nami swoimi wspomnieniami z niezwykle bogatej piłkarskiej, szkoleniowej i naukowej kariery.

Z JACKIEM GMOCHEM ROZMAWIA KAMIL KIJANKA

Kamil Kijanka: Czy nadal śledzi Pan bieżące wydarzenia w piłkarskim świecie?

Jacek Gmoch: Oczywiście. Wczoraj obejrzałem fragment spotkania z udziałem Bayeru Leverkusen. Zespół Xabiego Alonso jest w tej chwili na topie i prawdopodobnie zostanie mistrzem Niemiec. Widziałem również Barcelonę z udziałem Roberta Lewandowskiego. Uważam, że powinniśmy z niego być dumni. To jest mój apel do tych wszystkich, którzy trochę zawistnie patrzą na jego karierę i przewidywali jej rychły koniec. Jestem pewien, że będziemy tęsknić za piłkarzem tej klasy. Oglądałem także mecz Legii.

O Legii zaraz porozmawiamy. Zanim jednak trafił Pan do klubu przy ulicy Łazienkowskiej, zaczynał Pan karierę w Pruszkowie.

Zaczynałem w Zniczu, który, można powiedzieć, był takim naszym klubem rodzinnym. Był to Robotniczy Klub Sportowy. Przede mną grał w nim mój ojciec, na łączniku. Niestety, nie odziedziczyłem po nim tak dobrej lewej nogi. Po wojnie działacze odbudowali zniszczone boisko, a mój tata został wiceprezesem tego klubu. Ja z kolei uratowałem Znicz przed spadkiem. Otrzymałem warunek, że jeśli chcę iść do innego klubu, to muszę pomóc kolegom w utrzymaniu w III lidze. Tak też zrobiłem. Zdobyłem kilka decydujących bramek. Pamiętam sławetny mecz z Farmacją

Tarchomin. Spotkanie było bardzo wyrównane. Strzeliłem pierwszą bramkę, a zaraz potem rywal wyrównał. Zdobyłem drugą bramkę, to samo. Był to bardzo dziwny mecz, który zakończył się naszym zwycięstwem 5:4.

Najpierw trenował Pan jednak koszykówkę. Dlaczego?

W koszykówkę grałem dlatego, że w piłkę nożną przez pewien czas zabraniał mnie i bratu grać ojciec. Znał środowisko i obawiał się, że się tam zmarnujemy. Alkohol był na porządku dziennym. Pamiętam jednego takiego pomocnika Znicza, który przed każdym meczem musiał wypić setkę wódki na rozgrzewkę. Dodam jednak, że uczciwie pracował przez cały mecz. Na szczęście jednak tata w końcu zaakceptował mój wybór. W koszykówkę zaczynałem grać w czasach, kiedy jeszcze nie było w takich wieżowców. Byłem szybkim skrzydłowym. Przydało mi się to później w Legii i piłkarskiej reprezentacji, bo zawsze w testach motorycznych byłem jednym z najlepszych.

W jakich okolicznościach trafił Pan właśnie do zespołu Legii?

Legia miała ten pewien atut, przez który do dziś nie cieszy się szczególną sympatią poza stolicą. Mnie to pośrednio ominęło, choć było blisko. Kazio Deyna też za to zapłacił chociażby podczas



meczu reprezentacji na stadionie chorzowskim. Te gwiazdy... Wynalazł mnie trener reprezentacji młodzieżowej Warszawy, który jednocześnie współpracował z Legią. Podjęto decyzję, że trzeba mnie powołać do wojska. Na szczęście ja zdałem wstępny egzamin na Politechnikę, więc nie musiałem być w jednostce wojskowej. Za basenem był tam ośrodek sportowy, gdzie ściągano najlepszych sportowców z całej Polski. Walery Kisielewski i Wacław Kuchar byli trenerami, którzy pomagali w szkoleniu drużyn piłkarskich Legii. Kiedy miałem okienka między zajęciami, wsiedałem w trolejbus i trenowałem pod ich czujnym okiem. Głównie indywidualne treningi stacyjne, które zacząłem stosować chyba jako pierwszy w środowisku piłkarskim. Dzięki nim szlifowałem technikę. Miałem szczęście poznać wielu wyśmienitych trenerów na swojej drodze, ale moim takim guru był Jaroslav Vejvoda. Byłem blisko zdobycia mistrzostwa Polski już w pierwszym sezonie w Legii. Ówczesnym trenerem był Pan Kazimierz Górski, który miał za zadanie odmłodzić kadrę. Zdobyliśmy ostatecznie drugie miejsce. W meczu decydującym o mistrzostwie z Ruchem Chorzów trener Górski zamiast na mnie, postawił na Marceliego Strzykalskiego. Jak później Pan Kazimierz przyznał, popełnił błąd. Piłkarz ten miał niesamowitą wytrzymałość, ale trochę brakowało mu szybkości. Skończyło się naszą porażką 1-2.

Grał Pan na wielu różnych pozycjach...

To prawda. Grałem na niemal wszystkich pozycjach. Do meczu z Ruchem byłem szykowany na pozycji stopera. Z Szombierkami Bytom zagrałem jako środkowy napastnik. Swego czasu grałem na lewej obronie za mojego późniejszego szwagra, Jurka Woźniaka, na stoperze za Henryka Grzybowskiego, czy na prawej obronie za Horsta Mahselego. Występowałem również w linii pomocy. Pan Kazimierz wiedział, że jeśli jakiś zawodnik wypadnie mu ze składu, to zawsze może na mnie liczyć, niezależnie od zajmowanej pozycji. Byłem, można powiedzieć, takim omnibusem. To nas jakoś do siebie zbliżyło. Część zawodników mnie z tego powodu nie lubiła i nie było mi łatwo, ale dałem radę. W końcu byłem z Pruszkowa.

Pana kariera piłkarska została jednak brutalnie przerwana...

Niestety, w meczu Kadra PZPN – „Express”, złamałem nogę. Zderzyłem się z bramkarzem Marianem Szeją. Nie był winien tej sytuacji, był to czysty przypadek. Ten mecz to było jednak duże nieszczęście. To spotkanie wymyślił dziennikarze przeciwko trenerowi Koncewiczowi. Ja grałem w reprezentacji u Koncewicza, a młodzieżową reprezentację prowadził trener Górski. Ciekawe jest jednak to, jak wybierano powołania. Wybrano je przez taki plebiscyt „Expressu Wieczornego”. Były przygotowane specjalne ankiety. Skończyło się tym, że ponad 20 tysięcy osób zgromadzonych na stadionie Legii było przeciwko nam. Chodziło właśnie o to, żeby „Faję” odsunąć od reprezentacji. Mieliśmy już wtedy wyśmienitą drużynę. W eliminacjach do mistrzostw świata w Anglii w 1966 wygraliśmy na przykład ze Szko-

cją na Hampden Park, zremisowaliśmy u siebie z Włochami. Mieliśmy naprawdę duże szanse na to, by zaprezentować się na tych mistrzostwach. To co jednak działo się wokół tej kadry właśnie, miało także wpływ na późniejsze wyniki.

Ciekawi mnie również naukowy wątek w Pana karierze. Nie było to przecież zbyt powszechne wśród profesjonalnych sportowców.

Wyróżnialiśmy się na tym polu z Hubertem Kostką. On studiował na AGH, ja na Politechnice Warszawskiej. Uważaliśmy, że powinniśmy trenować, ale i uczyć się. Z kontynuowaniem kariery naukowej to był trochę przypadek. Po złamaniu nogi przestałem grać. Nam urodził się syn i trzeba było myśleć o rodzinie. Wcześniej planowałem wyjazd do Chicago, by skończyć tamtejszą uczelnię. Mieszkał tam także mój wujek, który także grał w piłkę i to w reprezentacji wojskowej Generała Andersa. Ostatecznie, tak jak moja żona, ukończyłem Politechnikę Warszawską. Bardzo dobrze zdałem u Profesora Zenona Wiłuna z Mechaniki Gruntów i Fundamentowania. Profesor Wiłun był wtedy kierownikiem Zakładu Dróg i Mostów, a przed wojną także grał w piłkę, w warszawskim AZS-ie. Na egzaminach wypadłem na tyle dobrze, że przyjął mnie później na swojego asystenta. Być może aspekt piłkarski wzbudzał dodatkową sympatię. Albo fakt, że miałem wtedy jako jeden z nielicznych volkswagena i nie musiałem obciążać uczelnianego budżetu przejazdowego. A jeździć w teren było trzeba. Z racji, że Profesor był specjalistą od osuwisk, przeprowadzaliśmy specjalistyczne badania i ratowaliśmy okoliczne skarpy. Myślałem również o doktoracie z zanieczyszczeń wód gruntowych i prowadziłem badania na ten temat. Pracę naukową kontynuowałem m.in. w Norwegii. Otrzymałem również stypendium doktoranckie fundacji Copernicus Society of America Edwarda Piszka z dziedziny przepływu wód gruntowych zanieczyszczonych petrochemią Płocka z przerobu ropy naftowej. W listopadzie 2019 roku zostałem uhonorowany w „Złotej Księdze” absolwentów Politechniki Warszawskiej.

Dużą wagę do analizy przykładów Pan również jako trener.

Obecność analityków i sztucznej inteligencji w profesjonalnych klubach dziś już nikogo nie dziwi. My byliśmy prekursorami w tej dziedzinie. Po mistrzostwach świata w 1974 roku ukazał się mój wywiad w „Spieglu”, gdzie była wzmianka, że inżynier Gmoch stosował analizę zapisu magnetycznego, przekazywał prawidłowości o przeciwniku i analizował grę. To był mój wkład. Wcześniej wraz z kolegami opracowałem także koncepcję drogi poprawy polskiej piłki nożnej na arenie międzynarodowej, które trafiło później do rąk Edwarda Gierka.

Czego Panu życzyć? Bardzo dziękuję za rozmowę.

Przed wszystkim zdrowia. Ja również bardzo dziękuję.



0 wymaganiach sprzętowych

Technologia i jej objawy w postaci komputera czy telefonu bardzo szybko zagnieżdżyła się w naszej świadomości i w naszym stylu życia. Sprzęty elektroniczne są tak oczywistym elementem naszej rzeczywistości, że dziś niektórym może być trudno nawet wyobrazić sobie pracę biurową sprzed lat – bez komputera.



PRZEMYSŁAW ZYRA

Dziś wiele osób pamięta komputer czy telefon w domu od początku swojego życia. Są też tacy, którzy pamiętają, jak te sprzęty dopiero pojawiały się w naszych domach. Z jednej strony mogą zobaczyć, jak zmieniały nasze życie, ale z drugiej widzą też, jak szybko zmieniała się sama technologia. Dziś w zasadzie każdy program uruchomi się na każdym komputerze, każda aplikacja będzie działać na każdym smartfonie. Nieco wcześniej wyścig technologiczny wiązał się

z bardzo szybkim wzrostem parametrów sprzętów, ale też z szybkim wzrostem wymagań technicznych. Wobec czego w rozmowach dawało się słyszeć określenia: „to nie pójdzie na moim komputerze”.

WYMAGANIA SPRZĘTOWE A SPRAWNE DZIAŁANIE

Zarówno ta rubryka magazynu, jak i cały rynek wydawniczy, oferuje dziś wiele metod i pomysłów na pracę nad sobą, sprawne zarządzanie swoimi zadaniami, efektywne wykorzystanie czasu. Nie wszystkie sposoby są oczywiście dobre. Niektórzy autorzy motywowani są bardziej chęcią zysku niż zainicjowania prawdziwej zmiany i ich książki nie zawsze będą dobrą wskazówką. Jest jednak wiele metod bardzo dobrych, wynikających z przeprowadzonych badań, popartych wiarygodnymi danymi. Są ludzie, którzy poświad-

czają, że wprowadzenie tej, czy innej metody zmieniło ich życie, wprowadzili do swojego życia porządek, zwiększyli efektywność. **Dlaczego więc nie wszystkim się udaje i nie zawsze działa?** Wychodzi na to, że wszystko dobrze z oprogramowaniem (skoro inni czytelnicy zdają się mówić: „Dziwne... u mnie działa”). Zatem informatyczna diagnoza może być taka, że wymagania sprzętowe nie są spełnione.

JA ROBOT

Czy sugeruję, że jesteśmy jak maszyny, na których „nie chce pójść” oprogramowanie? W pewien sposób właśnie tak. Bo jeśli widzę metodę działania, która działa u innych, zgodna jest z moją wolą, ale w praktyce nie potrafię jej wprowadzić w życie, mimo chęci, to istnieje ryzyko, że coś ze mną nie tak. Oczywiście nie od razu należy popadać w defetyzm.



Trzeba pamiętać, że ludzie różnią się, mają naturalne predyspozycje: jedni są z natury bardzo zdyscyplinowani i poukładani, inni kreatywni i same te różnice mogą powodować różne podejście do zmian, wprowadzania w swoje życie nowych rozwiązań, itp. Może być jednak tak, że ta ludzka różnorodność nie jest wytłumaczeniem, a w toku prób uzmysławiam sobie wtedy, że nie potrafię pokierować swoim życiem tak, jak chcę i nie potrafię robić tego, co chcę. Tego typu sytuację możemy nazwać słabym charakterem, brakiem silnej woli.

JAK PRACOWAĆ NAD CHARAKTEREM

Nie wszystko w swoim życiu da się zmienić sztuczkami i trickami. Jeżeli chcemy, by podstawą naszego sprawnego funkcjonowania i naszych sukcesów był nasz charakter, to musimy nad nim pracować. Jak to zrobić? Definicji charakteru może być dużo i dużo może być wizji takiej pracy. Spróbuję zatem doprecyzować na czym powinna polegać taka praca. Gdy mówimy o potrzebie pracy nad charakterem, oznacza to, że chcemy, by zmieniło się nasze zachowanie. Praca nad charakterem będzie więc działaniem (czasem mozolnym) skierowanym na przeprowadzenie zmiany w sposób nie rewolucyjny, ale raczej przystosowy.

I ETAP - ANALIZA I POSTANOWIENIE

Znajduję czas na refleksję. Myślę o swoim życiu i zastanawiam się nad nim:

- próbuję odpowiedzieć sobie, jak są moje wady,
- pytam siebie o to, czy chcę je zwalczyć i w jakiej kolejności,
- co dobrego chciałbym wprowadzić do swojego życia,
- jakie konkretnie działania chcę zrealizować w związku z tym.

Efektom takiej refleksji powinny być dwa postanowienia na najbliższy dzień: jedno związane z eliminacją czegoś negatywnego i jedno z wprowadzeniem czegoś pozytywnego. Mało i dużo zarazem.

Pewien człowiek wynosił z pracy jedną cegłę dziennie. Przez kilka lat nikt nie zorientował się, co on robi, a ten ubierał cegiel na budowę całego domu. Zmiany w naszym życiu nie są spektakularne. Potrzeba czasu, a wtedy nawet niewielkie działanie pomoże zbudować coś wielkiego.

Mamy dziś wiele narzędzi elektronicznych, które mogą nam zastąpić notatnik, ale warto zostać jednak przy tradycyjnej formie notowania – zwłaszcza, że obecność narzędzia elektronicznego może nie sprzyjać chwili wyciszenia, koniecznej do refleksji.

II ETAP - REALIZACJA

Rozpaczam dzień, w którym zaplanowałem zmianę swojego życia. Warto więc, bym o swoich postanowieniach pamiętał. W tym celu mogę zorganizować sobie coś, co będzie mi przypominało o moich planach. Kiedyś ludzie wiązali supły na chusteczkach, które miały przypominać o jakichś sprawach. Ja powinienem dobrać formę adekwatną do postanowień i własnych spraw. Może to być przypomnienie w telefonie, a nawet tapeta, a innym razem coś ustawionego blisko miejsca pracy – czy nawet element stroju. Podobnie jak w przypadku mininawyków, planowane zobowiązania nie powinny być bardzo trudne, by udało się je skutecznie realizować. Porażki na początku pracy mogą mocno zdemotywować.

III ETAP - BILANS

Po zakończonym dniu w zaplanowanym na ten cel czasie przeprowa-

dzam bilans zysków i strat. Sprawdzam, czy udało mi się zrealizować moje postanowienia. Być może wyciągam i zapisuję wnioski. Poniżej lub koryguję postanowienie na dzień kolejny.

Mogę na tym etapie zadawać sobie pytania pomocnicze. Choćby pytanie o to, czy rzeczywiście dobrze zdiagnozowałem wadę, nad którą powinienem teraz pracować. A może jakaś inna, moja własna wada wysunęła się w dzisiejszym dniu „na prowadzenie” i to nad nią powinienem się teraz skupić. Notatnik w tym wypadku będzie świetnym świadkiem moich przemyśleń, a może i zmian kierunku myślenia o sobie i swoich sprawach.

IV ETAP - POWTÓRZ PĘTLĘ

Robienie takiego własnego bilansu pracy nad sobą co jakiś czas będzie wiązało się z ponownymi analizami, przemyśleniami i nowymi postanowieniami. Może się okazać, że im dalej w las, tym więcej drzew, a więc po jakimś czasie uznamy, że pracy nad sobą mamy jeszcze więcej niż w momencie, w którym zaczęliśmy. To oczywiście nieprawda, bo spojrzenie wstecz (np. do własnych notatek) pokaże, że pewna praca została już wykonana. Ta praca jednak nie szybko się skończy. A w zasadzie trwa i powinna trwać stale.

Każdy z nas widział kiedyś kulturystę. Co stanie się, gdy ten przestanie ćwiczyć albo stosować się do narzuconych sobie zasad? Przerwanie

Definicji charakteru może być dużo i dużo może być wizji takiej pracy.

być kulturystą. Każdy człowiek lubi wygodę i często do niej

dąży, ale musimy mieć świadomość, że podobnie jak kulturysta, pianista, tak też człowiek mocnego charakteru musi na stałe stosować w swoim życiu pewne działania, utrudnienia, bo tylko to pomoże utrzymać formę. W zasadzie każdy zdaje sobie z tego sprawę, bo przecież myjemy codziennie zęby, utrzymujemy relacje z najważniejszymi dla nas osobami i robimy wiele innych powtarzalnych czynności – wszystko po to, by utrzymać pewien stan, poziom, którego oczekujemy. By być człowiekiem mocnego charakteru, sprawnym sprzętem operacyjnym, także potrzebujemy stałej pracy nad sobą.

Każdy rozsądny człowiek wie, że aby przekroczyć granicę niektórych krajów musi posiadać ważny paszport, a niekiedy wizę, a w samolocie maskę tlenową zakłada najpierw sobie, a potem towarzyszom podróży.

MAJA POLAK

Brońmy swoich granic!

Masz pomysł na płynące z tych faktów wnioski? Ja mam dwa. Po pierwsze, granice są ważne i całkowicie naturalne, a ich właściciel ma naturalne prawo do decyzji czy kogoś przez nią wpuści, czy nie. Drugi jest taki, że będąc w złym stanie psychicznym czy fizycznym nie pomożesz nikomu innemu.

GRANICE NIE OGRANICZAJĄ, A DAJĄ WOLNOŚĆ

Każdy z nas ma jakieś granice. Ty, ja, Twoja mama, profesor zniena-

widzonego przez Ciebie przedmiotu i kelnerka w kawiarni. I przykre jest to, że większość z nas nie zdaje sobie z nich sprawy, dopóki nie nadejdzie na którąś z nich stopą lub nie przeskoczy na drugą stronę. Granice określają wiele aspektów Twojego życia. Między innymi to, ile wiedzy jesteś w stanie pochłonąć w danym okresie albo to jaki wysiłek fizyczny jesteś w stanie podjąć podczas jednego treningu. I tu się nie kłócisz. Wiesz, ile godzin możesz spędzić nad książką i kiedy zaczynasz czytać to samo zdanie po raz dziesiąty.

Wiesz również, kiedy Twoje ciało jest na tyle zmęczone, że nie

dasz rady wykonać następnego powtórzenia, a walka nie sprawi, że staniesz się lepszy, tylko zwyczajnie nabawisz się kontuzji. Problemem jest stawianie granic innym ludziom. W właściwie nie samo ich stawianie, a uświadomienie sobie, że masz do tego pełne prawo i nie musisz się wszystkim tłumaczyć. Niektórzy kochają towarzystwo innych i mogą spędzać na rozmowie i imprezowaniu większość swojego życia. Inni za to już po godzinie spędzonej wśród najbardziej uwielbianych przez siebie ludzi mają dość i marzą o herbacie oraz dobrej książce w domowym zaciszu. Co powinieneś zrobić, jeśli jesteś przypadkiem numer 2? Powiedzieć szczerze swoim przyja-



ciółom, że jesteś zmęczony i zwyczajnie zrealizować swój plan. Jeśli reagują śmiechem, złośliwością czy próbą wzbudzenia w Tobie wyrzutów sumienia, są to ludzie toksyczni. I tak - mówię to z pełną odpowiedzialnością. Nie musisz być zawsze duszą towarzystwa, nie musisz zostawać zawsze do końca imprezy, bo ktoś obrazi się, że wolałeś spędzić czas sam. Podejrzewam, że zastanawiasz się teraz, czy to w porządku. W końcu przyjaciel to ktoś, kto jest obok Ciebie, z kim spędzasz wolny czas i wspierasz jego dobre samopoczucie. W sumie czemu zatem nie nagiąć własnych granic i nie zostać jeszcze godzinę, żeby sprawić komuś bliskiemu przyjemność. Możesz się w końcu jeszcze trochę pomęczyć. Pomyśl jednak czy nie zaprzeczasz w tym momencie własnej teorii. Jeśli komuś na Tobie zależy, bez problemu zrozumie, że potrzebujesz побыć sam, że nie bawi Cię dalsze picie w barze i głośna muzyka, że nie masz ochoty na poznanie nowych ludzi i udawanie, że czujesz się 10/10. **Jak ostrzec się przed krytyką czy niezrozumieniem ze strony bliskich? Bądź z nimi szczerzy.** Mów o swoich granicach, daj się poznać od każdej strony. Jeśli za każdym razem będziesz potajemnie wychodzić z imprezy ledwo po jej rozpoczęciu, ludzie pomyślą, że ich nie lubisz lub masz jakiś problem, o którym nie chcesz rozmawiać. Jeśli będą wiedzieli, że lubisz spędzać z nimi czas, ale dłuższe przebywanie w tłumie wśród hałasu źle na Ciebie wpływa, to będą Ci wdzięczni, że mimo to przyszedłeś, bo zależy Ci na ich uczuciach. W ten sposób zamiast zamknąć się w klatce niepewności i wyrzutów sumienia, dasz sobie prawo do wolności i swobody wyboru. Proste prawda?

KOCHANIE SIEBIE TO NIE EGOIZM

Na rozważania czy kochasz siebie i akceptujesz swoje słabości

nie starczyłoby całej rozkładówki. Dzisiaj jednak chciałabym żebyś zrobił pierwszy krok na drodze ku zdrowemu egoizmowi i zastanowił się, jak postrzegasz własne potrzeby w kontekście innych ludzi. Czy Twoje samopoczucie jest dla Ciebie równie ważne co uczucia innych? Czy jednak to pozytywny nastrój bliskich stanowi Twój priorytet? Myślę, że wielu ludzi, może również Ty, identyfikuje stawianie innych ponad sobą za przejaw bycia dobrym człowiekiem. Wolimy uśmiechać się, kiedy jest nam źle, żeby nie martwić przyjaciółki, pracować na dwa etaty zamiast powiedzieć partnerowi, żeby ruszył tylek z kanapy i skończył medycynę, aby spełniać niezrealizowane aspiracje taty. W każdej tej sytuacji myślisz jesteś dobrą przyjaciółką, wspierającą partnerką i najukochańszym synem rodziców. Uszczęśliwiasz wszystkich oprócz siebie, więc wydaje Ci się, że bilans jest dodatni. Tak przeżywasz jakiś czas, w zależności od tego jak szerokie masz granice cierpliwości i ilości wymuszonych śmiechów może to trwać miesiące, a może nawet lata. **Potem budzisz się i okazuje się, że wszyscy inni przeżywają Twoje szczęśliwe życie za Ciebie, a Ty zaczynasz mieć pretensję do innych o własne decyzje.** Jak to mówi młodzież, klasyk gatunku. Moja rada? Obudź się już teraz. Nie możesz mieć pretensji do przyjaciółki, że nie pyta o problemy, kiedy ciągle się szczerzysz jak klaun w cyrku. Przestań winić partnera za lenistwo, skoro zamiast kopnąć go tam, gdzie trzeba, przynosisz mu przed praca śniadanie do łóżka, a wieczorem opowiadasz jaki to nie jest wspaniały i wspierający. No i rodzice. Oni naprawdę chcą dla nas jak najlepiej i nie będą Cię mnie kochali za podejmowanie własnych decyzji. Błąd myślowy polega na tym, że wydaje Ci się, że Twoje szczęście koliduje z zadowoleniem innych, a jest totalnie odwrotnie. Rodzina i przyjaciele w końcu zorientują się, że coś jest nie tak i wierz mi, nie będą skakać z radości z powodu Twojego złego samopoczucia. A najgorsze co możesz zrobić, to wzbudzać w nich

poczucie winy z powodu własnych nieprzemyślanych kroków. **Zwyczajnie tego nie robię, ale zadam Ci dzisiaj pracę domową. Napisz na kartce w jakich sytuacjach jesteś szczęśliwy, a kiedy czujesz, że do czegoś się zmuszasz.** I nie, nauka do kolokwium się nie liczy. Są rzeczy, z których nie da się zrezygnować. Pomyśl czy dobrze czujesz się wśród swoich przyjaciół, na imprezach, podczas wykładów, w swojej pracy, na rodzinnych kolacjach, oglądając co wieczór film z partnerem. Czy lekcje pianina sprawiają, że odpływasz w świat muzyki czy modlisz się, żeby zaliczyć ostatni egzamin i uciec ze szkoły muzycznej. Czy nauka, chociaż czasem trudna sprawia, że wierzysz w wybrany przez siebie kierunek i nadal chcesz być prawnikiem czy jest Ci niedobrze na myśl o chodzeniu elegancko ubranym na salę sądową i wolałbyś siedzieć bez butów i w dresie przed komputerem w korporacji. I proszę Cię pamiętaj, w tym ćwiczeniu najważniejsze jest znalezienie wewnętrznego kompasu i rozróżnienie zmęczenia od uczucia braku szczęścia. To, że padasz na twarz po całym tygodniu ćwiczeń i wykładów nie jest równoznaczne z nienawiścią do studiów.

NIE UCIEKNIESZ OD SIEBIE SAMEGO.

Zabrzmiało poważnie, prawda? Ale prawda jest taka, że ilu ludzi by Cię nie otaczało i jak wielu zajęćom się nie poświęcisz ostatecznie jesteś Ty, Twoje myśli i Twoje szczęście. Stawianie siebie na pierwszym miejscu i dążenie do szczęścia, nie krzywdząc innych nie jest niczym złym. Jeśli jedna wolisz skupić się na inny i odgrywać rolę męczennika, nie dziw się później, że jesteś nieszczęśliwy. Mów głośno o tym co Cię boli i o tym co sprawia, że czujesz się komfortowo, szczególnie bliskim osobom. Nikt nie czyta Ci w myślach, a jedyny sposób na sprawdzenie granic drugiego człowieka, jeśli o nich nie mówią, jest doprowadzenie go do krawędzi. Nie dziw się, że ktoś przeskakuje przez Twoje, jeśli o nich nie wie. Powodzenia!

Co odręczne pismo mówi nam o człowieku (i czy mówi cokolwiek)?

Pamiętam jak w dzieciństwie znalazłam u dziadków książkę opisującą cechy charakteru człowieka zależne od różnych jego cech: wyglądu, sposobu chodu, pisma ręcznego itd.. Okazało się wtedy, że spisując wszystkie cechy mojego pisma całkowicie się one ze sobą wykluczały: miałam być jednocześnie wybuchowa i spokojna, zorganizowana i roztrzepana, inteligentna i niezbyt mądra.

Oczywiście taki zestaw cech nie byłby możliwy łącznie, co już wtedy przysporzyło mi refleksji nad tym, czy grafologia ma jakiegokolwiek podstawy naukowe. Okazuje się, że grafologia, mimo szątkowych badań naukowych potwierdzających skuteczność rozpoznawania niektórych cech (choć z dużym marginesem błędów), nie jest uznawana za metodę naukową. Przez praktyków z dziedziny kryminalistyki jest określana żartobliwie jako „wróżenie z pisma”. Należy jednak pamiętać, że jako grafologię definiujemy rozpoznawanie cech charakteru na podstawie kształtu liter i ogólnego wyglądu pisma. To właśnie jest określane jako pseudonauka. Natomiast kryminalistyka i po prostu badania pismoznawcze dysponują również innymi sposobami badania pisma, w tym jego autentyczności, które są potwierdzone naukowo.

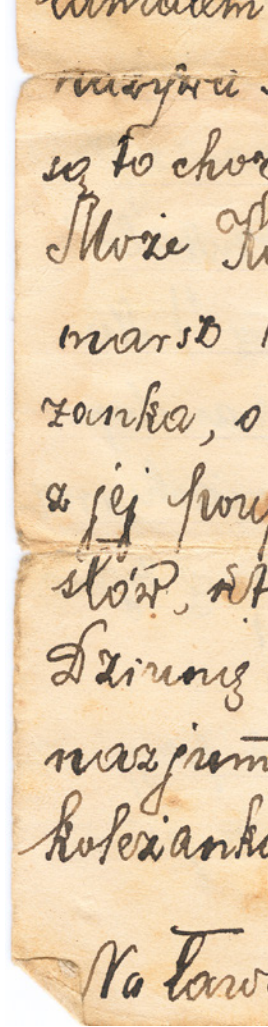
NIE WE FRANCJI

Grafologia jest uznawana za pseudonaukę praktycznie we wszystkich krajach świata oprócz... Francji. To właśnie stamtąd pochodzi grafologia (pierwszy opisał ją obszernej francuski ksiądz Jean-Hippolyte Michon). Możliwe że to właśnie z uwagi na patriotyzm aż 91% publicznych i prywatnych francuskich firm w 1991 r. wykorzystywało m.in. w rekrutacji badania grafologiczne. Obecnie szacuje się, że odsetek ten jest znacznie mniejszy i w 2013 r. miał wynosić około 50%, co nadal jest bardzo wysokim wskaźnikiem, zwłaszcza w porównaniu do innych europejskich państw, gdzie takie praktyki są rzadkością. **Francuskie firmy mają prosić kandydatów o przygotowanie odręcznego listu motywacyjnego, który następnie jest analizowany przez grafolo-**

gów pod kątem rzekomych cech charakteru kandydata i jego dopasowania do danego stanowiska i zespołu. Choć teraz jest to już dużo rzadziej spotykane (jest to odbierane przez zagranicznych kontrahentów jako zaściankowe, przez co francuskie firmy się z tego wycofują), nadal się to zdarza.

BADANIA PISMOZNAWCZE W KRYMINALISTYCE I NIE TYLKO

Badania pismoznawcze (bo tak właśnie określają je specjaliści z dziedziny kryminalistyki) swoim zakresem obejmują przede wszystkim identyfikację tego, czy dane dokumenty „wyszły spod ręki” tej samej osoby (zazwyczaj na zasadzie porównawczej z innymi próbkami tekstu, o których wiadomo, że dana osoba je stworzyła), badanie



KRYSIA PASZKO

... m...?, ...
... marzenia, ...
... s...li mnie parę słów, ...
... nastąpi o godz. 15. Spodziewam się, że kole-
... ile to nie stoi w jasnym ...

autentyczności podpisów i sygnatur (także np. na dziełach sztuki), odczytywanie treści zniekształconej (np. na skutek zniszczenia, błędnego przechowywania, zalania itd.), identyfikację wieku pisma lub dokumentu. Co jednak ważne, pismo należy badać jako zespół cech (w całości), a nie jako oderwane od siebie pojedyncze cechy.

CZY PISMO SIĘ ZMIENIA?

Pismo nie jest tak charakterystycznym śladem człowieka jak np. odcisk palca i może zmieniać się w ciągu życia. Specjaliści w zakresie badania pisma szacują, że kształt pisma ulega względnej stabilizacji w okresie około 30 roku życia. Utrzymuje się on (pod warunkiem braku innych szczególnych czynników takich jak choroba czy zmiany w zakresie wykonywanej pracy) aż do okresu starości, gdy znów ulega zmianom. Charakterystyczne dla pisma osób starszych jest zwiększanie się pisma (na skutek pogorszenia się wzroku), drżenie linii pisma (pismo staje się „postrzępione, na skutek m.in. drżenia dłoni), zmniejszenie czytelności pisma.

INNE METODY BADANIA PISMA

Nie tylko jednak sam wygląd pisma jest istotny dla rozpoznania autora danego dokumentu. Badania kryminalistyczne obejmują również m.in. badania lingwistyczne, które są w stanie powiedzieć dużo więcej o autorze (zwłaszcza gdy jest to swobodna wypowiedź, np. list lub manifest) niż badania z zakresu pseudonaukowej grafologii. W analizie lingwistycznej pisma bada się m.in. cechy treściowe, które są w stanie przybliżyć badaczom motyw postępowania i przekonania dotyczące świata osoby objętej badaniem. Bada się również cechy językowe, takie jak styl, składnia, żargon zawodowy i użycie słownictwa specjalistycznego, regionalizmy, błędy ortograficzne lub ich brak, które mogą przybliżyć badaczom to z jakiej grupy zawodowej może pochodzić

badany, gdzie może mieszkać, jak jest wykształcony. Analizie poddaje się również elementy techniczne samego dokumentu, tj. przykładowo jeśli dokument został wydrukowany, stara się ustalić jakiego typu drukarki lub maszyny użyto, aby zawęzić krąg poszukiwań.

STYL PISMA POMOCNY W WYKRYCIU „UNABOMBERA”

To właśnie dzięki charakterystycznemu stylowi pisma i wyraźnych w tekstach charakterystycznych poglądom zidentyfikowany został przestępca Ted Kaczynski, znany również jako Unabomber. Wysłał on skonstruowane przez siebie przesyłki zawierające bomby, przez co zginęły 3 osoby, a 29 zostało rannych. Przez wiele lat był nieuchwytny, a do jego złapania przyczynił się jego brat David, który w publikowanych w gazetach manifestach Unabombera rozpoznał poglądy i styl formułowania myśli swojego brata, Teda Kaczynskiego.

TESTAMENT RĘCZNY

Badania pisma ręcznego nie są stosowane wyłącznie w kryminalistyce. Pomagają one również w określeniu autentyczności dokumentów w sprawach z zakresu prawa cywilnego i gospodarczego (np. zawieranych umów) lub w zakresie prawa spadkowego. W Polsce jedną z najpopularniejszych opcji spisania testamentu, obok testamentu notarialnego, jest testament ręczny. Dla swojej ważności wymaga on tego, by w całości był napisany ręcznie oraz zawierał datę i podpis testatora (osoby sporządzającej testament). Choć brak daty nie pociąga za sobą automatycznie nieważności testamentu, to jeśli występują wątpliwości dot. tego, czy w czasie sporządzenia testamentu testator posiadał zdolność do czynności prawnych (np. nie był ubezwłasnowolniony) lub wzajemnego stosunku testamentów (nie wiadomo, który testament był pierwszy a który ostatni) to brak

daty skutkuje jego nieważnością. Nieważny jest również testament sporządzony pod wpływem groźby, a także pod wpływem błędu uzasadniającego przypuszczenie, że gdyby testator nie działał pod wpływem błędu, nie sporządziłby testamentu danej treści. Również jeśli osoba formalnie posiadała zdolność do czynności prawnych (nie została ubezwłasnowolniona), ale w czasie tworzenia testamentu pozostawała w stanie wyłączającym świadome albo swobodne powzięcie decyzji i wyrażenie woli, testament może zostać uznany za nieważny przez sąd. W takim wstecznym badaniu stanu psychicznego testatora, oprócz oczywiście zeznań świadków (np. rodziny) przydatna może okazać się analiza samego testamentu. Niektóre choroby, które mogą wyłączać świadome podejmowanie decyzji, takie jak choroba Alzheimera czy niektóre postaci schizofrenii ujawniają się również w cechach pisma chorego, co zwłaszcza w porównaniu z innymi jego zapiskami sprzed choroby może pomóc określić stan psychofizyczny w momencie sporządzenia testamentu.

ZALETY PISMA RĘCZNEGO

Choć wiele wskazuje na to, że analiza ręcznego pisma nie jest w stanie określić cech charakteru człowieka (metaanaliza około 200 badań przez Goeffreya Deana wskazuje, że grafolodzy byli tak samo skuteczni w odczytywaniu cech charakteru na podstawie pisma jak osoby które... zgadywały), to mimo tego ręczne pisanie ma wiele zalet. Naukowcy z Norweskiego Uniwersytetu Nauki i Technologii wskazują, że pisanie ręczne poprawia koncentrację i pobudza kreatywność, a pisanie notatek w tradycyjny sposób pozwala lepiej przyswoić materiał, którego chcemy się nauczyć. Również zapisywanie swoich myśli (journaling lub pamiętnikarstwo) pomaga (obok profesjonalnego wsparcia) radzić sobie z problemami natury psychicznej, wzmacnia pamięć i wdzięczność.

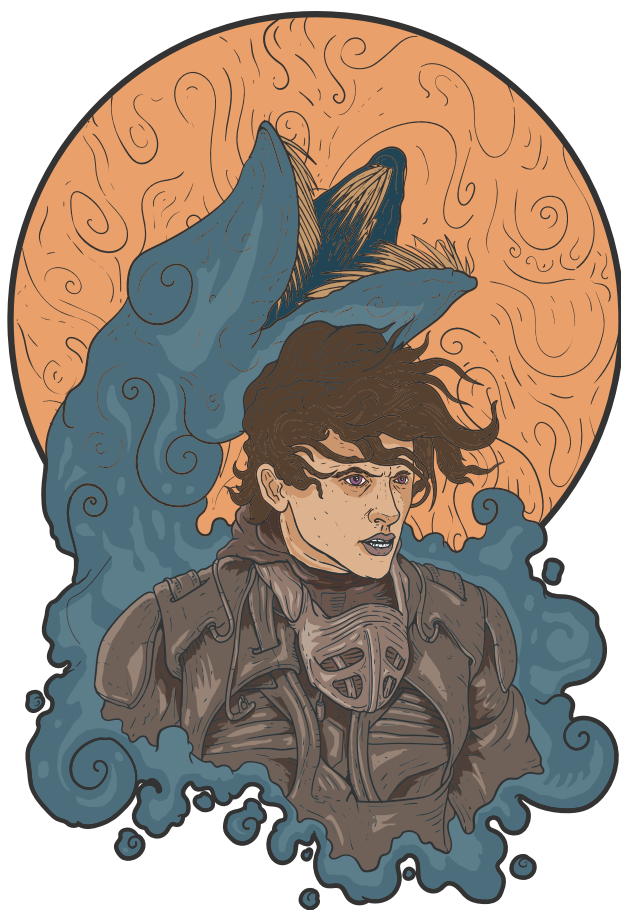
2 lipiec o godz. 14-30 (nie fu

Gatunek sci-fi to jedna z najbardziej rozwiniętych gałęzi fantastyki. Pojawiło się wiele dzieł z różnych rodzajów sztuki, w których autorzy skupiają się na bardzo konkretnym problemie. Wśród niezliczonych książek, filmów i gier komputerowych można doszukać się wielu prekursorów danego motywu.



BARTŁOMIEJ SUHECKI

Z Arrakis na Tatooine



Niektóre uniwersa idą krok dalej i rozbudowują swoje światy przedstawione do niebywających rozmiarów. Przykładami takich kolosów wśród dzieł fantastyki naukowej są „Gwiezdne Wojny” i „Diuna”.

MEANDRY IMPERIALNEJ POLITYKI

Dzieło Franka Herberta zbudowane jest właściwie na sadze złożonej z 6 tomów oraz, na chwilę obecną, dwóch części ekranizacji. Mogłoby się wydawać, że nie jest to dużo zważając na to, iż filmy nie wprowadzają nowych postaci czy informacji do całego uniwersum. Jest to jednak założenie zdecydowanie nieprawidłowe. Mimo dość małej liczby dzieł świat zbudowany przez Herberta jest bardzo skomplikowany. Autor stawia duży nacisk na przedstawienie sytuacji politycznej w imperium, a zatem także zależności pomiędzy różnymi frakcjami dzierżącymi władzę. Z racji potępienia sztucznej inteligencji ludzkość w świecie „Diuny” rozbudowała swoje umiejętności mentalne, by dorównać czy nawet przewyższyć maszyny.

Postaci często dzierżą wręcz nadprzyrodzone moce takie jak przewidywanie przyszłości czy zmuszanie innych do wykonywania czynności za pomocą głosu. Nic więc dziwnego, że innym tematem przewijającym się podczas lektury jest religia. Te dwa tematy bardzo często przeplatają się i tworzą ścisłe zależności.

ODWIECZNY KONFLIKT O MOC

Świat „Gwiezdných Wojen” jest znaczenie bogatszy jeśli chodzi o ilość dzieł w nim umieszczonych. Składają się na nie oczywiście filmy, które są jakby trzonem całego uniwersum utrzymującym je w pionie. Ogromny wkład w bogactwo postaci i motywów wnoszą także komiksy i książki zarówno te kanoniczne jak i, a może nawet zwłaszcza, pochodzące z „legend”. Nie należy zapominać o serialach animowanych i tych aktorskich, a także grach komputerowych. W przypadku tego świata mamy do czynienia z bardzo rozwiniętą technologią. Przeplata się ona także z mistyczną sztuką „mocy” używaną przez zakony. Rozważania na temat używania technologii do podtrzymywania życia czy nawet ulepszenia człowieka są zauważalne. Wielkie siły takie jak imperia, zakon rycerzy Jedi czy Sithów stanowią główny element tła wydarzeń. W z racji iż fabuła odgrywa się na wielu planetach i księżycach uniwersum posiada ogromną bazę światów i ekosystemów, które także wpływają na wiele zdarzeń fabularnych czy politycznych.

GŁOS SPOZA ŚWIATA I WYBRANIEC MOCY

Mimo widocznych różnic uniwersa posiadają cechy wspólne. Głównym motywem filmów w świecie „Gwiezdných Wojen” jest motyw wybrańca. Anakin Skywalker posiada niespotykaną wrażliwość na moc, zakon Jedi odnajduje w nim wybrańca, który ma przywrócić równowagę mocy. Podobną sytuację możemy odnaleźć w „Diunie”. Paul Atryda jest przez Jessicę odbierany jako kwisatz haderach – finalne ogniwo planu genetycznego Bene Gesserit pozwalające zakonowi przejąć pełną kontrolę nad Imperium. Zarówno

Paul jak i Anakin napotykać na swojej drodze wiele przeszkód, które zmieniają postrzeganie przez nich drogi, którą każe im iść przeznaczenie. Anakin przez strach przed stratą ukochanej zostaje zwiedziony i zagłębia się w ciemnej stronie, zbacza on więc z drogi, którą upatrzył dla niego zakon. Młody książę Atryda na początku swojego pobytu na planecie Arrakis także nie chce zgodzić się na wypełnienie swojego przeznaczenia, ponieważ dostrzega w przyszłości widmo Świętej Wojny. Później jednak w przeciwieństwie do Skywalkera postanawia podążyć drogą zaplanowaną od wieków przez matki wielebne.

CZERWIE I MIDICHLORIANY

Oba uniwersa posiadają bardzo rozbudowany system religii, kultu lub swego rodzaju magii. W Diunie wiedźmy posługują się Głosem, który pozwala na kontrolowanie zachowania innych poprzez wydawanie komunikatów. Są także w stanie, dzięki działaniu Melanżu, zaglądać w przyszłość, a nawet do doświadczeń swoich poprzedniczek poprzez dostęp do pamięci genetycznej. Rycerze Jedi, a także Sithowie posiadają wiele cech podobnych do tych wymienionych wyżej. Mogą za pomocą Mocy nakazywać wykonanie poleceń. Posiadają także niezwykle zdolności fizyczne pozwalające na walczenie mieczem świetlnym i wykonywanie niesamowitych akrobacji. Osoby obdarzone szczególną wrażliwością są zdolne nawet do przewidywania przyszłości czy odczytywania myśli oraz emocji innych osób.

STRACH ZABIJA DUSZĘ

Na samych nadprzyrodzonych zdolnościach podobieństwa się nie kończą. W obu uniwersach możemy znaleźć formy kultu czy namiastki religii. Szczególnie oczywiście te tematy są poruszane w powieści Herberta. Mamy tam filozoficzne wręcz rozważania na temat tworzenia religii przystosowanej do przyszłego wykorzystania przez siły Gene Gesserit. Fremeni przekazują sobie mity zaszczerpione przez siostry by, jeśli pojawi się taka potrzeba, członkini zakonu mogła je wykorzystać i otrzymać przychyl-

ność społeczności. Filmy w świecie „Gwiezdných Wojen” nie mówią zbyt dużo na temat wierzeń i religijności zakonu Jedi. Nie oznacza to jednak, że w całym uniwersum nie jest ona obecna. Sam fakt istnienia zakonu jest dowodem na istnienie swego rodzaju religii czy też może precyzyjniej ideologii. Szkolenie rycerzy w dużej mierze opiera się na medytacji i umiejętności operowania mocą obecną we wszechświecie. Sama konstrukcja miecza przez adepta jest niemalże religijnym rytuałem podczas, którego musi wykorzystać swój kontakt z Mocą.

NIE BĘDZIESZ TWORZYŁ MASZYN NA SVOJE PODOBIENSTWO

Podstawową różnicą między uniwersami jest podejście do technologii. Na pokładach statków w filmach Lucasa porusza się niezliczona ilość robotów myślących. Wysoka technologia zakłada wykorzystanie sztucznej inteligencji do nawigacji statkami czy obsługi robotów asystujących. W świecie „Diuny” inteligentne maszyny są wręcz zakazane. Stanowi to element niektórych ksiąg mądrości zawartych w uniwersum (np. Biblii Protestancko-Katolickiej). Jest to związane z historią ludzkości, która odbyła wojnę z myślącymi maszynami po tym jak te praktycznie przejęły władzę we wszechświecie. Podczas wojny zostały zniszczone wszystkie maszyny posiadające przynajmniej namiastkę inteligencji. Technologia więc skupia się na różnych kwestiach w obu uniwersach.

WSPÓLNE DZIEDZICTWO

Na pierwszy rzut oka uniwersa sci-fi mogą wydawać się albo niemalże identyczne, albo zupełnie do siebie nie podobne. Jak jednak świetnie widać na podstawie świata Herberta i Lucasa występują pewne utarte motywy składające się na wizję przyszłości. Każdy autor jednak wprowadza także swoje interpretacje czy przewidywania by skłonić odbiorcę do spojrzenia na świat przyszłości z innej perspektywy. Wymienione w tym tekście tematy i motywy są oczywiście tylko namiastką tego z czego składają się skomplikowane światy skonstruowane przez tych wybitnych kreatorów.

Od aktora zależy znalezienie różnych barw

Pana Mariusza Jakusa możemy śmiało nazwać czołowym przedstawicielem czarnych charakterów polskiej sceny filmowej. Postacie Tygrysa z filmu „Samowolka”, czy też Mongoła z „Czasu Honoru” do dziś budzą wśród widzów niemały dreszczyk emocji.



Z AKTOREM MARIUSZEM JAKUSEM ROZMAWIA PATRYK KIJANKA

To właśnie jego niezwykła wyrazistość sprawia, że jego role tak mocno zapadają w pamięć. Pomimo faktu, iż jest znany z dużego ekranu właśnie z wcielania się przede wszystkim w negatywnych bohaterów – jak sam przyznaje, na ulicy spotyka się z wieloma wyrazami sympatii. Pan Mariusz Jakus z czytelnikami Konceptu podzielił się wieloma interesującymi spostrzeżeniami dotyczącymi świata teatru i filmu, a także zdradził niezwykle ciekawe anegdoty związane z jego najbardziej znanymi filmowymi kreacjami.

Czy jest Pan konserwatystą jeśli chodzi o teatr?

Jako widzowi bliżej mi do tzw. teatru środka. Lubię proste, dobrze opowiedziane historie, choć nie zamykam się także na nowe trendy w teatrze. Jednak sam mam raczej gust spokojniejszy, tradycyjny czyli taki, który prezentuje m.in. Teatr Współczesny. Myślę, że możemy zaobserwować w ostatnim czasie wśród publiczności potrzebę powrotu właśnie do takiego teatru. Widz Współczesnego zawsze czekał na mądre, niebanalne propozycje i takie otrzymywał. Jestem pewny, że tak będzie w dalszym ciągu.

Postać Tygrysa w którą wcielił się Pan w głośnym filmie „Samowolka” przyniosła Panu dużą rozpoznawalność. Jakie są Pana wspomnienia związane z tamtą rolą?

Pamiętajmy, że w tamtym czasie zjawisko fali w wojsku było głośnym tematem, co z pewnością miało ogromny wpływ na zainteresowanie tym filmem. Dla mnie ważnym momentem związanym z tym obrazem było z pewnością spotkanie w Gdyni z matkami ofiar – mam na myśli chłopców, którzy popełnili samobójstwo, lub zginęli w trakcie odbywania służby. Kobiety te dziękowały nawet mnie, a więc negatywnej postaci filmowej – za to, że jako pierwsi pochylił się nad tym trudnym, dotąd skrywanym tematem.

Jeśli chodzi o kreacje filmowe jest Pan przede wszystkim kojarzony z czarnymi charakterami. Czy jest Pan zadowolony z tego faktu?

Czy mam jakieś inne wyjście (śmiech)? Co najwyżej mogę nie przyjąć jakiejś roli, co zresztą wielokrotnie mi się zdarzało. W ogóle kwestia obsady w polskim kinie czy telewizji to osobny rozdział. Krótko rzecz ujmując: banał goni banał, schemat goni schemat. Zero refleksji, zero ryzyka, zero odwagi. Decydujący głos ma producent,

a nie reżyser, który obawia się postawić na swoim. Dodam producent nie koniecznie znający się na rzeczy. Efekt: do bólu przewidywalne, zarówno na poziomie scenariusza, merytoryki jak i obsady produkcji, o których zapominamy natychmiast po wyjściu z kina. W ostatnim czasie byłem na dwóch takich, pożałuj Boże, premierach. Jeśli zaś chodzi o wywołane przez Pana czarne charaktery, to myślę, że tzw. szuflada z nimi jest tak pojemna, iż tylko od aktora zależy znalezienie różnych barw, tych z pozoru jednowymiarowych postaci.

„Czas Honoru” był z pewnością takim serialem, który skłaniał do dyskusji, a w którym zagrał Pan pamiętną postać Mongoła.

I właśnie ten serial w świetny sposób pokazywał tamtą rzeczywistość, był w wielu przypadkach pretekstem do dyskusji. Sama postać Mongoła była inspirowana prawdziwą postacią niemieckiego zbrodniarza Josefa Blösche, który dokonywał wielu okropieństw nadzorując porządek na drewnianej kładce w warszawskim getcie. Zresztą jego oryginalny pseudonim „Frankenstein” pojawił się nawet w pierwszej wersji scenariusza.

Jak ja Pana „nie lubiłem” za to, że Pan tę biedną serialową Lenkę Sajkowską męczył...

I z Lenką w którą wcielała się moja serdeczna koleżanka z Teatru Jaracza, a więc Agnieszka Więdołcha – wiąże się także zabawna historia. Pamiętam, że w tamtym czasie graliśmy także wspólnie w różnych spektaklach – w jednym z nich parę kochanków, a w innym odpowiednio postać ojca i córki. Pewnego razu jadąc ze spektaklem pt. „Nad”, na festiwal do Gdyni, postanowiliśmy zatrzymać się na obiad. Idąc do restauracji Agnieszka chwyciła mnie pod rękę. Tak weszliśmy do lokalu. Facet, który stał za barem, gdy zobaczył serialową Lenkę i Mongoła w takiej sytuacji nie mógł po prostu uwierzyć – jego spojrzenie było bezcenne (śmiech). Na prawdę czuł się oszukany.

Czy obecne pokolenie aktorów znacząco różni się od pańskiego?

Myślę, że tak. Dziś mamy zupełnie inne czasy niż w wtedy, gdy sam kończyłem studia aktorskie. W tamtym okresie przykładowo nie było tak wielu seriali jak dziś – i nie mam tu na myśli tych świetnych, które z pewnością także można się znaleźć, a te w których głównym warunkiem angażu jest wygląd zewnętrzny. Oczywiście nie mówię tu o wszystkich osobach, bo wiele jest też takich, które myślą inaczej, jednak z tego co się słyszy to dla większości dzisiejszych młodych aktorów szczytem marzeń jest otrzymanie własnej stałej roli w jakimś serialu.

Czy mierzi Pana brak warsztatu dostrzeżalnego u niektórych aktorów znanych właśnie z grania w serialowych tasiemcach?

To zawsze bolesne gdy widzi się zewsząd wyłażącą amatorszczyznę i amatorów bez cie-

nia predyspozycji, że o warsztacie nie wspomnę. Ale wie Pan, ktoś to produkuje bo ktoś inny chce oglądać. Mogę tylko zapłakać nad coraz bardziej spsiałymi gustami większości naszych tzw. odbiorców kultury masowej. Niekompetencja, brak przygotowania i powszechne przekonanie, że musi być lekko, łatwo i przyjemnie. I jeszcze śmiesznie. Otóż nie musi. A nawet nie powinno.

W jednym wywiadzie powiedział Pan, że jako aktor z zasady nie ma wymarzonej roli, którą chciałby zagrać. A czy jednak jest jakiś wymarzony reżyser z którym najbardziej chciałby Pan pracować?

Niestety nie jest to możliwe, bo ci reżyserzy w większości nie żyją albo są już w takim wieku w którym przestali tworzyć. Jednak w Polsce dalej są świetni fachowcy z którymi lubię pracować i którym kibicuję. I to zarówno w teatrze jak w kinie.

Jakie są największe plusy i minusy aktorstwa?

Jak się powiedzie – same plusy, a jak się nie powiedzie... cóż same minusy (śmiech). Każdy ma przecież swoje marzenia, pragnienia, ambicje. W momencie, gdy ukończy się szkołę aktorską to naturalnie marzy się o tym by grać. Jeśli komuś jednak nie uda się przebić to później bardzo cierpi – zastanawia się tym samym czemu komuś innemu się udało, a nie mnie? Co ze mną nie tak? Gdzie popełniłem błąd? Konkurencja jest ogromna. Pamiętajmy, że dziś wielu młodych aktorów ma duży problem nawet ze znalezieniem agencji aktorskiej. Nie wspominając o roli, co jest oczywiste. Kilukrotnie absolwenci dzwoniли do mnie z prośbą o pomoc w znalezieniu własnej agencji. Jeśli tylko mogą zawsze pomogę.

A jakie największe błędy na początku kariery popełniają w Pana odczuciu młodzi aktorzy?

Wielu z nich bojąc się uwiązania nie chce iść do teatru na etat, wierząc, że ktoś zadzwoni z serialową, bądź filmową propozycją życia i wtedy praca w teatrze będzie przeszkodą. Nie tędy droga. Moim zdaniem to wielki błąd. Najpierw zagraj coś. Stwórz, powołaj do życia jakiejś postaci. Miej coś do zaproponowania. Zostaw na scenie trochę potu, a potem...

Co powinno się w Pana odczuciu zmienić w naszym kraju jeśli chodzi o branżę aktorską?

Wie Pan, nie czuję się upoważniony do proponowania, a co dopiero wprowadzania jakichkolwiek zmian. Choć zapewne w tej materii jest wiele do zrobienia. W każdej dziedzinie świat idzie do przodu generując zmiany, czy to się komuś podoba czy nie. W aktorstwie pewnie też. Jedno jest niezmiennie: mów prawdę i nie nudź! A tak całkiem poważnie, to temat na osobną, obszerną rozmowę. Tu nie da się wystawić krótkiej, szybkiej recepty.

Czy emigracja za Ocean to w dalszym ciągu American Dream?

Daria Ornat pochodzi z dolnośląskiego Wałbrzycha. Prawie 20 lat temu, jeszcze jako dziecko opuściła Polskę i zamieszkała w Nowym Jorku. Jaka sama przyznaje – szczególnie dla poprzedniego pokolenia Polaków Stany Zjednoczone stanowiły wymarzony, najczęściej niedostępny kierunek emigracji. Zwłaszcza w XX wieku realia panujące za Oceanem niezwykle kontrastowały z szarą rzeczywistością naszego kraju, który znajdował się w komunistycznym cieniu.

Z DARIĄ ORNAT ROZMAWIA PATRYK KIJANKA

Czy jednak w dalszym ciągu wyjazd do Stanów Zjednoczonych możemy postrzegać jako spełnienie amerykańskiego snu? Jak zmieniło się to państwo przez ostatnie lata? Jakie miejsca warto zwiedzić i czego spróbować? W trakcie rozmowy Daria poruszyła wiele interesujących faktów związanych z amerykańską kulturą, a także szczerze przedstawiła realia, które obecnie panują w kraju w którym mieszka.

Jak długo mieszkasz w Stanach Zjednoczonych?

Mieszkam w USA od 2005 roku. Przyleciałam tutaj na wakacje, aby odwiedzić rodzinę w 2003 roku. Jednak tak bardzo polubiłam Stany Zjednoczone, że postanowiłam wrócić i zostać na stałe. To był mój pierwszy wyjazd tak daleko od domu, miałam wtedy 10 lat.

Chyba jednak w tamtych czasach nie było tak prosto zostać na stałe w Stanach?

Przyznam, że mój wyjazd do USA nie był przesadnie planowany. Z pewnością w spełnieniu mojego „American dream” pomogła obecność rodziny na miejscu. W tamtym czasie w Wałbrzychu z którego pochodzę zamknęli zakład pracy w którym pracowała moja mama. Taki stan rzeczy przyspieszył decyzję o wyjeździe – właśnie w poszukiwaniu lepszego życia.

Twoje dzieciństwo można podzielić na

polską i amerykańską część. Czy możesz porównać te dwa rozdziały życia?

W Polsce tak wiele nie podróżowałam, ale też miałam fajne dzieciństwo, które zawsze ciepło wspominam. Jak patrzę teraz na dzieci, które spędzają czas z nosem w telefonach i iPadach to cieszę się, że ja przeżyłam ten czas na podwórku, bawiąc się niewinnie z przyjaciółmi. W Stanach Zjednoczonych jednak jest bardziej niebezpiecznie na ulicach. Z tego powodu rodzice nie pozwalają dzieciom bawić się na zewnątrz tak długo jak w Polsce – w trosce o ich bezpieczeństwo.

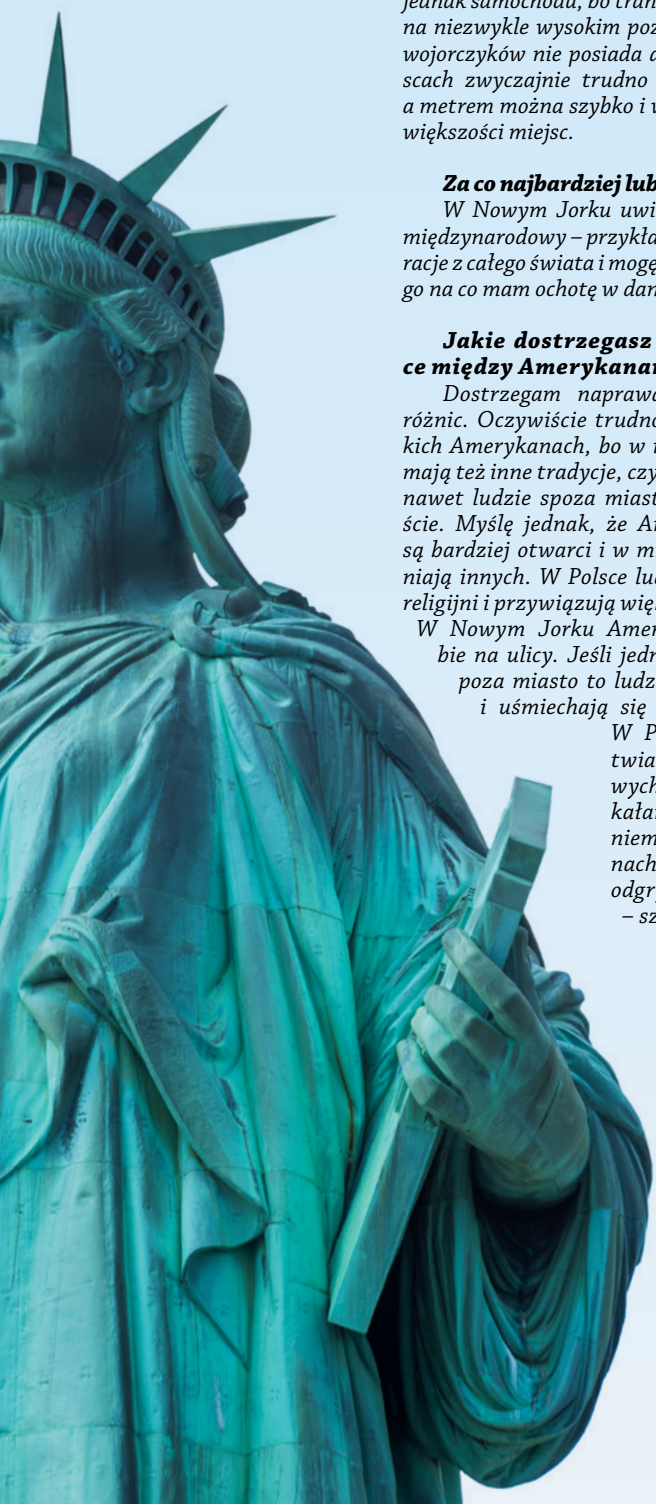
Czym się zajmujesz na co dzień?

Od 10 lat pracuję w salonie Tiffany’ego i głównie zajmuję się diamentami. Wcześniej nie było mnie stać na studia – wyprowadziłam się od mamy, kiedy miałam 17 lat i rozpoczęłam dorosłe życie. Pracowałam 60 godzin tygodniowo, żeby wiązać koniec z końcem. Później udało mi się pogodzić pracę ze studiami prawniczymi. Planowałam dołączyć do NYPD (New York Police Department), ale gdy ukończyłam szkołę to w Stanach rozpoczęły się ogromne protesty przeciwko policji. To mnie zniechęciło – dlatego nie wstąpiłam do akademii.

Wróćmy do czasu, gdy wyemigrowałaś. Pamiętasz jakie największe różnice dostrze-gaś między Polską, a USA?

Najbardziej zauważalne dla mnie było to, że ulice są tutaj bardzo brudne. Różnią się od tych pokazywanych w filmach (śmiech). Będąc dzieckiem





szokowała mnie także obecność tak wielu niezwykle zróżnicowanych pod względem etnicznym ludzi. Wszyscy mówili w nieznanym dla mnie języku. To wszystko robiło duże wrażenie.

Gdzie obecnie mieszkasz?

Teraz mieszkam na obrzeżach New York City, 35 minut pociągiem od Times Square. Lubię to miejsce, bo z jednej strony mam blisko do miasta, a z drugiej omija mnie największy miejski zgiełk i chaos. Wychowywałam się na Brooklynie i Queensie - tam zawsze coś się dzieje, bez względu na porę. Bary są tam na prawie każdym rogu. Teraz mieszkam bliżej natury. Nie potrzebuję jednak samochodu, bo transport publiczny jest tu na niezwykle wysokim poziomie. Większość Nowojorkczyków nie posiada auta, bo w wielu miejscach zwyczajnie trudno jest znaleźć parking, a metrem można szybko i wygodnie dostać się do większości miejsc.

Za co najbardziej lubisz Nowy Jork?

W Nowym Jorku uwielbiam to, że jest tak międzynarodowy - przykładowo są w nim restauracje z całego świata i mogę spróbować wszystkiego na co mam ochotę w danej chwili.

Jakie dostrzegasz największe różnice między Amerykanami, a Polakami?

Dostrzegam naprawdę wiele znaczących różnic. Oczywiście trudno mi mówić o wszystkich Amerykanach, bo w innych stanach ludzie mają też inne tradycje, czy mentalność - zresztą nawet ludzie spoza miasta są inni niż w mieście. Myślę jednak, że Amerykanie generalnie są bardziej otwarci i w mniejszym stopniu oceniają innych. W Polsce ludzie są za to bardziej religijni i przywiązują większą wagę do tradycji.

W Nowym Jorku Amerykanie ignorują siebie na ulicy. Jeśli jednak wyjedziesz gdzieś poza miasto to ludzie są przeważnie mili i uśmiechają się do siebie nawzajem.

W Polsce nie lubię załatwiać spraw papierkowych, bo zazwyczaj spotykałam w urzędach bardzo niemiłych ludzi. W Stanach ogromne znaczenie odgrywa obsługa klienta - szczególnie w sklepach.

Jakie widzisz największe plusy i minusy życia w USA?

Do plusów na pewno zaliczę możliwość interakcji z różnymi ludźmi. Nauczyło mnie to szacunku do różnych kultur i ich zwyczajów. Tu jest dużo możliwości dla wszystkich. Minusem jest właśnie wspomniany system edukacji, a ja naprawdę lubię się uczyć. Poza tym jest tutaj bardzo drogo, szczególnie w Nowym Jorku. Ludzie tutaj męczą się mieszkając ze współlokatorami. W obecnych czasach wielu ludzi nie stać na swoją nieruchomość. Tutaj jedzenie ma też gorsze standardy, niż w Europie. Wielu ludzi ma tu problemy z układem pokarmowym. Produkty spożywcze zawierają wiele chemicznych składników, co wpływa na taki stan rzeczy. Od czasu gdy tutaj zamieszkałam sama zaczęłam mieć takie problemy. Warto podkreślić, że ubezpieczenie jest też bardzo drogie, ludzie starają się z tego powodu omijać lekarzy, bo boją się wysokości rachunku. Poza tym wraz ze zwiększeniem zjawiska emigracji niesamowicie wzrosła przestępczość. Jest niebezpiecznie.

Co Amerykanie generalnie wiedzą na temat Polski?

Przyznam, że najczęściej nie wiedzą gdzie się znajduje. Jednak zdarza się, że kojarzą nas ze względu na kielbasę i pierogi, które im smakują. Czasem można spotkać odpowiedniki takich produktów w dziale z mrożonkami w marketach, ale oczywiście nie jest to ta sama jakość i smak co w Polsce. Niektórzy mają o nas stereotypowe opinie - mam na myśli zamilowanie do mocnych trunków. Z drugiej strony często słyszy się, że jesteśmy według nich bardzo pracowici.

Jeszcze jakiś czas temu emigracja do Stanów Zjednoczonych była wymarzoną szansą wielu Polaków, za którym kryła się szansa lepszego życia. Czy dziś dalej tak jest?

Stany to już raczej nie jest ten sam American Dream, nie jest tak łatwo. Zresztą podkreślają to sami Polacy, którzy przybyli tutaj w latach osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych - ci ludzie mogli pozwolić sobie wcześniej na to, żeby pracować, żyć spokojnie i przysyłać pieniądze rodzinie w Polsce. Dziś tak jak wspominałam przeciwny Amerykanin nie jest w stanie kupić sobie mieszkania. Oczywiście w dalszym ciągu jest tu dużo możliwości - jeśli masz talent, świadomość tego co chcesz robić i jesteś pracowity to możesz tu osiągnąć sukces. Jednak jest zwyczajnie dużo trudniej niż w przeszłości.

Co doradziłabyś ludziom, którzy myślą nad przeprowadzką do Stanów Zjednoczonych?

Polecam im otwartość jeśli chodzi o poznanie ludzi. W taki sposób można się wiele nauczyć. Przed przylotem najlepiej jest mieć już przygotowany jakiś plan. Oczywiście podstawą jest znajomość języka i posiadanie odpowiednich dokumentów. Myślę, że jedna warto przylecieć tutaj najpierw turystycznie i sprawdzić, czy taka kultura nam odpowiada.

Trybecz

góry owiane złą sławą

Późną jesienią i zimą lepiej się tutaj nie zapuszczać. To właśnie wtedy dochodzi najczęściej do zaginięć. Od blisko stu lat ludzie z tej okolicy przepadają bez wieści lub tracą zmysły. Być może są to zwykłe bajki dla niegrzecznych dzieci, jakich wiele. Faktem jest jednak, że na swoją legendę Trybecz zapracował co najmniej z kilku powodów.



KAMIL KIJANKA

**Uważaj na las, żeby Cię nie połknął
Uważaj na las, żeby Cię nie połknął oślacz
Oślacz i czerwony wrzos**

Trybecz to pasmo górskie znajdujące się w zachodniej części Słowacji. Należy do Łańcucha Wielkofatrzańskiego w Centralnych Karpatach Zachodnich. Jest licznie porośnięty lasami liściastymi, a jego pasmo rozciąga się wzdłuż rzeki Nitry. Wielki Trybecz ma wysokość 829 m.n.p.m. i jest najwyższym szczytem pogórza. Najbardziej znanymi atrakcjami turystycznymi w tej okolicy są ruiny zamków - Gýmeš, Čierny hrad i Oponický hrad.

Niech ktoś to przeczyta. Niech to wszystko nie pójdzie na marne – ostatnie słowa, które usłyszałem od Igora. Przynajmniej w temacie Trybecza. Kiedy skończył, zupełnie

zamilkł, a po chwili coś w niego wstąpiło, wstał i wyszedł.
– „Szczelina”, J. Karika (2016).

O tym miejscu mówi się, że jest „słowackim trójkątem bermudzkim”. Czym jednak Trybecz zasłużył sobie na mroczną sławę? W ciągu ostatnich dziesięcioleci doszło tutaj do kilku tajemniczych zaginięć. Niektórych ludzi nigdy nie udało się odnaleźć. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, nie potrafili zazwyczaj wytłumaczyć, w jakich okolicznościach się zgubili i jak spędzili ostatnie dni lub godziny. Zachowywali się dziwnie, byli zdezorientowani lub wymagali leczenia psychiatrycznego.

Niektórzy sceptycy mogą powiedzieć, że nie jest niczym nadzwyczajnym, by zgubić się podczas górskiej wędrowki. Takie rzeczy się zdarzały i będą zdarzać jeszcze nie raz. Kiedy jednak przeanalizujemy

kilka historii związanych z zaginięciami właśnie w tej okolicy, może się okazać, że nie wszystko da się tak łatwo wytłumaczyć.

DŁUGA HISTORIA ZAGINIĘĆ

Pierwszy odnotowany przypadek pochodzi z listopada 1929 roku. Wtedy to 47-letni leśniczy Štefan Samšal z Velkich Uhrec wybrał się na pochód i przepadł bez śladu. Intensywne poszukiwania trwały blisko 3 miesiące, ale zakończyły się niepowodzeniem. Co ciekawe, dziś nikt z okolicznych mieszkańców nie pamięta tej historii a żadne dane dotyczące mężczyzny imieniem i nazwiskiem Štefan Samšal nie widnieją w tamtejszych rejestrach.

Zaledwie rok później jego los podzieliła 18-letnia Mária Slajzerová. Młoda kobieta wyszła z domu z zamiarem udania się do pobliskiego



Zlatna. W tym celu obrała drogę przez las Mankoviec. Do miejsca docelowego nigdy jednak nie dotarła.

To nie były jedyne zagadkowe historie w latach trzydziestych w tej okolicy. Kolejnym zaginionym był Andrej (niektóre źródła podają imię Ján) Murgaš z miejscowości Zírany, pracujący w miejscowym kamieniołomie. W słowackim urzędzie nadal znajdują się dokumenty potwierdzające zgłoszenie tego zdarzenia przez żonę mężczyzny. Tutaj także poszukiwania okazały się bezskuteczne.

Jak już zostało wspomniane, niektóre osoby się odnajdywały. Tak jak Walter Fischer, zatrudniony wówczas w zakładach obuwniczych Baťa w Batovanach (dzisiaj Partizánske). Zimą 1939 roku człowiek ten wybrał się na spacer w kierunku Čierneho hradu. Wydawało się, że i tym razem ciało osoby zaginionej w Trybeczu nie zostanie odnalezione. Mijały miesiące, a po Walterze nie było śladu. Do czasu. Zakrwawionego i nieprzytomnego mężczyznę dostrzeżono w lesie wiele miesięcy po zgłoszeniu zaginięcia. Przeżył, choć tajemnicze zdarzenia odcisnęły na nim swoje piętno już na zawsze. Do końca swojego życia przebywał w szpitalu psychiatrycznym, szczególnie zabierając ze sobą do grobu.

Jeśli myślicie, że do podobnych zdarzeń dochodziło w tym regionie wyłącznie w zamierzchłej przeszłości, to niestety jesteście w błędzie. W 2000 roku było głośno o tajemniczym znalezisku na trasie ze Skýcova. Porzucone BMW miało otwarte

drzwi i włączone radio. W środku znajdowała się znaczna suma pieniędzy, pozostawiona bez właściciela. Były także dokumenty niejakiego Ján Šala, którego do dziś nie udało się odnaleźć.

Ostatni przypadek zaginięcia w Trybeczu odnotowano w roku 2017.

CO MÓWIĄ EKSPERCI?

Odpowiedź na pytania o pogórze Trybecz nie jest prosta, ponieważ w przypadku starszych zaginięć brakuje źródeł. W tamtych czasach jednym z podstawowych dokumentów były papierowe księgi, które jednak często ulegały zniszczeniu, więc historie były przekazywane ustnie na zasadzie głuchego telefonu. Myślę, że te legendy to efekt kuli śniegowej, które z pokolenia na pokolenie przybierały na sile i tak stworzyła się legenda o słowackim trójkącie bermudzkim – mówi Ola Pyka, tłumacz pisemny i twórca portalu slowacystka.pl

Legenda Trybecza odżyła i szerszym strumieniem rozlała się daleko poza granice samej Słowacji dzięki bestsellerowej książce Józefa Kariki pt. „Szczelina”. Najpopularniejszy słowacki pisarz opisał w niej przeżycia Igora, który postanowił sprawdzić na własnej skórze, czy rzeczywiście w górach tych dzieje się coś niedobrego. Jak możecie się domyślić, zapłacił za to wysoką cenę.

Właściwie nawet teraz, rok po naszym spotkaniu, nie jestem

pewien, czy mówił prawdę. A jeśli zmyślał, to w jakich proporcjach jego fantazje mieszały się z rzeczywistością. Niektóre elementy jego historii są bez wątpienia prawdziwe – dokładnie to sprawdziłem, lecz pozostałe... Zresztą sami się przekonacie.

– „Szczelina”, J. Karika (2016).

Co ciekawe, w 2020 roku Marta Bijan, polska artystka, którą możecie kojarzyć z IV edycji programu X-Factor (II miejsce w finale), opublikowała utwór „Szczelina”, wprost nawiązujący do książki Józefa Kariki. Do piosenki nakręcono również teledysk.

Lokalni mieszkańcy, słysząc kolejne przerażające historie o ich okolicy, bardzo dobrze się bawią. Twierdzą, że w Trybeczu, jak w każdych górach można zabłądzić, ale nie zniknąć. Niemniej książka i film nakręcony na jej podstawie sprawiły, że Trybecz jest teraz pełen łowców sensacji i miłośników dreszczyków emocji

– dodaje Ola Pyka.

Czy Trybecz rzeczywiście straszny? Ocenę pozostawiam Wam. Jeśli już koniecznie musicie wybrać się tam i przekonać na własne oczy, to odradzam okres jesienno-zimowy. Tak na wszelki wypadek.

**Żeby Cię nie połknął oślacz i czerwony wrzos
Skakał pies, ryczał, ryczał przy tym
Skakał pies, przy tym ryczał
Żeby Cię nie połknął**

„Zakopane całe śniegiem zasypane” śpiewały w dawnym przeboju Wały Jagiellońskie. Choć ostatnio z opadami śniegu bywa różnie (podobnie jak z zimnem w zimie) miasto to, stolica polskich Tatr, w dalszym ciągu uchodzi za synonim sportów zimowych i wszelkich śnieżnych rozrywek.

Zakopane znane i nieznane



WOJCIECH BIELSKI

Co jednak jeżeli obecnie nie możemy pozwolić sobie na wypad na narty? Jeśli jesteśmy kontuzjowani, nie mamy talentu do jazdy lub po prostu nie znajdujemy frajdy w takich zajęciach? Czy w takim wypadku wypad do tego miasta na ferie jest już skreślony? Nic bardziej mylnego! Zapraszam na wycieczkę po niesportowym Zakopanem.

SERCE MIASTA

Każde miasto ma jakiś swój słynny punkt turystyczny: Kraków starówkę, Licheń bazylikę, Pułtusk rynek, a Zakopane Krupówki. Ta ciągnąca się od pomnika hr. Władzy

sława Zamoyskiego aż do Gubałówki ulica stanowi obecnie niezaprzeczalne centrum turystyczne miasta... choć jest to centrum zdecydowanie handlowe. Pomimo tego drobne perełki w krupówkowym spacerze odnajdą koneserzy różnych atrakcji. Opowieść o możliwościach takiego chodzenia rozpocząć należy od czegoś dla entuzjastów odwiedzin w sklepach – zmierzając w (lub z) kierunku Gubałówki natkniemy się na liczne punkty z pamiątkami, a także na księgarnię z popularną ofertą, lecz także i takie z ambitniejszym asortymentem. Odnajdziemy sklepy z wyposażeniem turystycznym, a także stoiska z wyrobami stylizowanymi na regionalne. Pomiędzy

handlarzami coś dla siebie odnajdą entuzjaści świata wirtualnego napatykając kina zarówno tradycyjne jak i tzw. 7D. Warto także wspomnieć, że kierując wzrok ku górze, miłośnicy sztuki budowlanej podziwiać będą mogli stojące gdzieś tam piękne budynki w dawnych stylach architektonicznych, których kontemplację utrudniają niestety dobudowane współcześnie nowoczesne klocki. Trudność tę zrekompensować może zatopienie się w innych formach sztuki, co na Krupówkach nie jest trudnym wyzwaniem, gdyż jak na tak ograniczoną przestrzeń, występuje na nich znaczne zagęszczenie karykaturzystów, domorośłych malarzy, a także profesjonalnych galerii



Fot. K. Schubert MIK 2019





sztuki. Szczególnie polecam odwiedzić te ostatnie, a zainteresowanym dopowiem, że warto obserwować boczne uliczki, gdyż niektóre kryją się właśnie tam. W takich zaułkach, choć nie tylko w nich, napotkać można również atrakcje dla turystów ceniących sobie rozkosze podniebienia. W zależności od preferencji obiadowych napotkamy fast foody, bary mleczne i inne interesujące miejsca, wśród których z pewnością na uwagę zasługuje „Pstrąg Górski” serwujący tę morsko-potokową rybę na liczne i oryginalne sposoby, choć ich liczba w ostatnich latach uległa, niestety, znacznej redukcji. Podczas przechadzki nie zabraknie także przekąsek – pod Gubałówką czeka istna feeria regionalnych serów podawanych na zimno w różnych wielkościach, stopniach uwędzenia czy składach oraz uwielbiane przeze mnie redykołki na ciepło podawane z żurawiną bądź miodem. Serki te zdecydowanie warte są rocznego oczekiwania. Kontynuując opowieść o kulinarnych atrakcjach warto rozzejrzeć się czy gdzieś nie ukrył się ruszt z moskolami – regionalnymi placuszkami ziemniaczanymi podawanymi ze smalcem. Niezapomniane doznania zjedzenia tego dania z pewnością pozostaną z nami na długo. Zapierającym dech w piersiach zwieńczeniem Krupówkowej wyprawy może być wjazd na Gubałówkę, by podziwiać piękną panoramę polskich Tatr, odnaleźć wybrane szczyty i zdumiewać się widząc chmury pokrywające czubki gór.

UCZTA DLA DUSZY

Co jednak jeżeli ktoś preferuje bardziej klasyczne doznania turystyczne bądź kulturalne? W Zakopanem znajdzie atrakcje również dla siebie! Koneserów muzyki klasycznej z pewnością zainteresuje możliwość odwiedzin muzeum usytuowanego w willi Atma, poświęconego osobie i twórczości wybitnego polskiego kompozytora Karola Szymanowskiego. W domu twórcy Harnasiów zapoznać możemy się z jego kolejnymi

życia, zetknąć się z osobistymi pamiętkami pozostałymi po Szymanowskim, poznać fragment związków bohemy ze stolicą polskich Tatr, a także obejrzeć zrekonstruowany gabinet kompozytora. Kto wie? Może tak wyglądało miejsce, gdzie wpadł na pomysł swojego sztandarowego dzieła? Dodatkowym atutem Atmy jest także niepowtarzalna atmosfera dawnej zakopiańskiej architektury drewnianej, którego pozwolę sobie nie opisywać, bowiem zetknięcie to powinno być indywidualnym doznaniem dla każdego z nas.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Jeżeli jednak muzyka klasyczna się nie podoba, a architektura nie wzbudza entuzjazmu? W takim wypadku w sukurs przybywa już prehistoryczna forma opowieści pisanej, czyli komiksy! Niedaleko Krupówek, w niewielkim domku przy ul. Kazimierza Przerwy-Tetmajera mieści się muzeum poświęcone twórcy Koziołka Matołka i Małpki Fiki-Miki – Kornela Makuszyńskiego. Ta niewielka w gruncie rzeczy ekspozycja jest jednak w stanie zaoferować coś każdemu zwiedzającemu. W miejscu tym najmłodszy będą mieli szansę pobawić się historiami Koziołka i Małpki za pomocą magnesów i specjalnych klocków, a nieco starsi, zainteresowani postacią autora, będą mogli zapoznać się z jego tragicznym życiorysem, wybranymi dziełami oraz z zrekonstruowanym wnętrzem zakopiańskiej kwatery pisarza. Rekonstrukcja ta z pewnością dostarczy niezapomnianych wrażeń także miłośnikom malarstwa, fotografii czy niedysyjszym nurtom meblarstwa. Miejsce to skonstruowane zostało z wyczuciem i smakiem, a odwiedzający rzeczywiście czuje się jakby wpadł właśnie do Kornela na popołudniową herbatkę. O wysiłku włożonym w wystrój muzeum świadczą także ostatnia sala muzealnej ekspozycji, poświęcona już nie tyle samemu Makuszyńskiemu, co ogółowi twórców literackich związanych z Zakopanem. Ich liczne fotografie

zwiedzający podziwiać mogą na jednej ze ścian, a historię odwiedzin Tatr przez literatów opowiada zgrabnie skonstruowany film. Wszystkiemu przygląda się pośmiertna maska twarzy i dłoni Tuwima. Szczerze mówiąc nie wiem, czy autorzy sali mieli na celu inspirowanie młodych twórców do zintensyfikowania wysiłku artystycznego (celem znalezienia się w przyszłości na tej ekspozycji) lecz jeżeli tak, to moim zdaniem odnieśli na tym polu pełen sukces.

Z MIŁOŚCI DO DZIEDZICTWA

Na koniec chciałbym wspomnieć jeszcze o doskonałym miejscu dla miłośników geologii i etnografii – siedzibie głównej Muzeum Tatrzańskiego. Na jego ekspozycji zwiedzający zobaczyć mogą rozmaite rodzaje pięknych skał, z których przynajmniej część tworzy zapierające dech w piersiach widoku okalające Zakopane. Obejrzymy tam również tradycyjne stroje góralskie, zapoznamy się z dziejami stolicy Tatr, poznamy rozkład tradycyjnej góralskiej chaty i obyczajowość dawnego, niemożliwego już do odwiedzenia Podhala. Bardziej dociekliwi zwiedzający będą mogli również zaopatrzyć się w opisujące te kwestie książki, a Ci silnie sentymentalni zapatrzeć w liczne zdjęcia minionych czasów. Wśród nich odnajdziemy również jeden z symboli zakopiańskich przemian – fotografię Jana Krzeptowskiego-Sabały, którego spotkamy również na pomniku przy ul. hr. Władysława Zamoyskiego, jak siedzi i gra na skrzypcach pod popiersiem Tytusa Chałubińskiego. Kiedyś sabalowy smyczek był częścią „pamiętką” co mniej kulturalnych turystów, lecz dziś na szczęście wandalizm ten odszedł do historii. Mam nadzieję, że tak jak ów przedmiot z właścicielem, tak i z wami pozostaną po odwiedzinach w Zakopanem piękne wspomnienia. Jutro wybieram się do jeszcze jednego miejsca – willi Oksza – na wystawę pejzaży tatrzańskich. Po jej zwiedzeniu liczę na takie właśnie wspominki.



TOMASZ RYKACZEWSKI

Ile w ogóle powinniśmy pracować?



Zastanówmy się, jaki wymiar czasu pracy jest najlepszy i dla kogo? Czy jako ludzkość doszliśmy już do takiego etapu, że możemy mniej pracować? Jakie rzeczy liczymy do czasu pracy? Element pracy w gospodarce jest odwiecznym obszarem rozmów i sporów między pracodawcami i pracownikami. Nie wchodząc w tematy poziomu wynagrodzeń, ani benefitów, przyjrzyjmy się kwestii czasu pracy.

PRACA NASZYCH PRZODKÓW

Przez wieki praca była podstawą życia codziennego. Różne religie wskazywały i nadal wskazują jakiś dzień, który należy święcić np. w chrześcijaństwie jest to niedziela na pamiątkę "boskiego odpoczynku". 6-dniowy tydzień pracy funkcjonował przez wieki, w Polsce w czasach nam bliższych, od 1918 roku, przy czym od 1919 w sobotę pracowało się przez 6 godzin. Dopiero w 1973 roku Polacy po raz pierwszy w historii nie poszli w sobotę do pracy. Nie wprowadzono też tej zmiany w sposób rewolucyjny, tylko wybierano selektywne soboty w roku jako dni wolne i dopiero w 1989 roku wszystkie soboty stały się oficjalnie wolne. Była to finalizacja wprowadzania 5-dniowego tygodnia pracy, która trwała ponad 15 lat. Teraz, kilka pokoleń później, zastanawiamy się czy 4-dniowy tydzień pracy to rozwiązanie korzystne czy negatywne?

ILE PRACOWAĆ?

To pytanie staje się coraz bardziej palące w obliczu wzrostu zainteresowania tą koncepcją 4-dniowego tygodnia pracy zarówno wśród pracowników, jak i pracodawców. Wraz z postępem technologicznym i zmieniającymi się oczekiwaniami pracowników, koncepcja ta zdobywa

większe zainteresowanie, choć wynika to z różnych intencji i celów.

Prowadzone są również testy, jak np. w firmie Perpetual Guardian z Nowej Zelandii, która doświadczyła wzrostu produktywności o 20% po wprowadzeniu tego modelu. Podobne efekty zaobserwowano również w innych krajach, takich jak Japonia, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, gdzie poszczególne firmy zdecydowały się na takie rozwiązanie i chwaliły się swoimi wynikami. Jednak czy na pewno wszyscy pochwalili się wszystkimi efektami?

Historia 4-dniowego tygodnia pracy sięga jednak dalej niż ostatnie lata. Już w latach 70. XX wieku, w czasie kryzysu naftowego, niektóre firmy eksperymentowały z tym modelem, aby zmniejszyć zużycie energii. Odkryto wtedy, że krótszy czas pracy może nie tylko przynieść oszczędności, ale także zwiększyć efektywność pracy oraz poprawić zadowolenie.

Należy podejść do tej koncepcji z uwzględnieniem śledzenia trendów społecznych oraz rynku pracy. W niektórych miastach i branżach występuje rynek pracownika, więc i siła przetargowa pracowników rośnie i oczekiwania względem pracodawcy mogą być śmieiej wygłaszane i wymagane. Warto tu jednak zwrócić uwagę, że nie wszędzie.

JEŚLI TAK, TO JAK?

Obecnie polskie prawo nie zawiera konkretnych przepisów zakazujących wprowadzania czterodniowego tygodnia pracy. Decyzja ta zależy więc od indywidualnego porozumienia między pracownikiem a pracodawcą, przy zachowaniu obowiązujących przepisów dotyczących etatu pracownika i prawa pracy.

Nie wszystkie czterodniowe tygodnie pracy są identyczne. W zarządzaniu wyróżnia się kilka modeli, które można dostosować do potrzeb organizacji:

- **model skrócony** - pracownicy pracują cztery 10-godzinne dni, a piąty dzień jest dniem wolnym;
- **model skrócony** - całkowity wymiar godzinowy jest skrócony, a pracownicy pracują cztery 8-godzinne dni, co daje łącznie 32 godziny pracy w tygodniu;
- **model elastyczny** - pracownicy mają swobodę w wyborze czterech dni pracy w tygodniu, ale muszą zachować określony wymiar godzinowy.

Wybór odpowiedniego modelu zależy od potrzeb, specyfiki i możliwości firmy. Przejście na krótszy tydzień pracy wymaga starannego planowania i dostosowania wewnętrznych procesów operacyjnych.

Zarządzający muszą zapewnić ciągłość realizacji zadań przez organizację, odpowiednią obsługę oraz wdrożyć strategię zapewniającą płynną komunikację i przepływ pracy. To istotne zmiany, których nie da się rewolucyjnie wprowadzić. W końcu krótszy tydzień pracy nie oznacza, że firma działa też krócej.

KAŻDY MA SWOJEGO RABINA

Temat skrócenia czasu pracy jest oczywiście poddawany licznym badaniom, analizom i komentarzom w świecie nauki. Każda ze stron znajdzie po swojej stronie odpowiednie badania i naukowców, którzy poprą ich tezę odpowiednimi danymi. W prezentowanych co jakiś czas wynikach badań trudno znaleźć złoty środek.

Badania zwolenników wykazały, że krótszy czas pracy może prowadzić do zwiększenia produktywności pracowników. Mniej dni spędzonych w pracy sprawia, że pracownicy są bardziej skupieni i zmotywowani, co zmniejsza straty czasu i prokrastynację.

Jedną z najważniejszych zalet czterodniowego tygodnia pracy jest większa ilość wolnego czasu dla pracowników, co pozwala im spędzać więcej czasu z rodziną i realizować swoje pasje. Poprawa równowagi między życiem prywatnym a zawodowym może prowadzić do obniżenia poziomu stresu i zwiększenia zadowolenia z pracy. Krótszy tydzień pracy może również przyczynić się do ochrony środowiska, skracając czas dojazdów do pracy i zużycie energii.

Oferowanie czterodniowego tygodnia pracy może być atrakcyjnym benefitem dla potencjalnych pracowników, zwłaszcza dla młodszych pokoleń, dla których równowaga między życiem prywat-

nym a zawodowym jest priorytetem. Firmy, które wprowadzają elastyczne formy pracy, mają zazwyczaj wyższe wskaźniki zatrzymywania pracowników, ponieważ ci czują się bardziej docenieni i wspierani w osiąganiu równowagi między życiem prywatnym a zawodowym.

Z kolei sceptycznie nastawieni badacze zauważają, że zmniejszenie liczby dni pracy może prowadzić do spadku produktywności. Mniej czasu dostępne dla pracy może wywierać presję na pracowników, aby wykonywać więcej w krótszym czasie, co prowadzi do pośpiechu i niekompletności pracy.

Wprowadzenie czterodniowego tygodnia pracy może pogłębić istniejące nierówności w podziale pracy. Niektórzy pracownicy mogą być zmuszeni do dłuższej pracy lub podejmowania dodatkowych obowiązków, aby zrekompensować krótszy tydzień pracy, co może prowadzić do poczucia niesprawiedliwości.

Dla firm działających w bardziej konkurencyjnych branżach, wprowadzenie czterodniowego tygodnia pracy może mieć znaczące konsekwencje finansowe. Koszty związane z zatrudnieniem dodatkowych pracowników lub inwestycjami w technologię mogą przewyższyć potencjalne korzyści. Istotnym ryzykiem jest również utrata konkurencyjności w przypadku, gdy inne firmy nie zdecydują się na taki model pracy.

Ponadto, krytycy obawiają się, że powszechne przyjęcie czterodniowego tygodnia pracy może mieć negatywny wpływ na wzrost gospodarczy. Skrócenie czasu pracy może prowadzić do zmniejszenia produkcji i dochodów społeczeństwa, co może spowolnić aktywność gospodarczą i utrudnić tworzenie nowych miejsc pracy. Mimo iż zwolennicy czterodniowego tygodnia pracy zaznaczają, że ma to nastąpić przy utrzymaniu

poziomu płac to może to spowolnić tempo ich wzrostu.

Skoro badacze podają nam różne wyniki badań czy nie będziemy musieli podejmować tej odwołać się do mickiewiczowskiego "Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko".

LABOR, QUO VADIS?

Choć czterodniowy tydzień pracy wydaje się być krokiem w kierunku poprawy równowagi między życiem zawodowym a prywatnym, nie można ignorować potencjalnych ryzyk związanych z taką zmianą. Przed wprowadzeniem czterodniowego tygodnia pracy, pracodawcy muszą dokładnie zbadać swoje możliwości i przewidzieć potencjalne konsekwencje, aby zapewnić, że zarówno pracownicy, jak i firma, odnoszą z tego korzyści. Trzeba rozwiązać sprzeczność między krótszą pracą, a koncepcją klientocentryzmu, która nakazuje być stale nastawionym na potrzeby klientów i możliwie pełnym ich zaspokajaniu.

Pandemia znacznie uelastyczyła pracę, popularyzując pracę zdalną i hybrydową. Zastanówmy się więc, czy nie nadszedł czas, aby rzucić wyzwanie konwencjonalnym modelom pracy i otworzyć się na nowe możliwości. Może nie wprowadzać tej zmiany jako prawny wymóg tylko pozostawić ją jako indywidualne ustalenia na rynku pracy, a czas i zachowania ludzie pokażą, w którą stronę pokieruje nas trend zmian. ■



Legal design

jak zaprojektować zrozumiałe prawo?

Prawo dotyczy każdego z nas – to oczywiste. Jednak nie zawsze wiemy jak z niego skorzystać, ponieważ treści dokumentów prawnych bywają zawiłe, długie i zupełnie niezrozumiałe dla laika. Rozwiązaniem tego problemu może być legal design, którego kompleksowe podejście do projektowania pozwala przetłumaczyć skomplikowany język prawa na bardziej zrozumiałą dzięki odpowiedniej warstwie wizualnej.



EDYTA ŚPIEWAK

CZYM JEST LEGAL DESIGN?

Koncepcja *legal design* wywodzi się ze Szkoły Prawa na Uniwersytecie Stanforda w Stanach Zjednoczonych. To właśnie tam powstał pierwszy na świecie zespół (*The Legal Design Lab*), którego celem było zbudowanie nowej jakości usług prawnych. Od tamtej pory pojęcie to stało się na tyle popularne, że stosuje je coraz więcej podmiotów ściśle związanych z prawem w zakresie projektowania dokumentów i usług prawnych. Opiera się na nietuzinkowym podejściu do tworzenia, korzystania oraz rozumienia prawa w celu jak najlepszego zidentyfikowania oraz zrozumienia potrzeb odbiorców, którzy wchodzi w interakcje z prawem, a także do tworzenia ulepszeń i innowacji w oparciu o tę wiedzę.

Przesłanką do stworzenia tej koncepcji było założenie, że prawo jest dla wszystkich ludzi, dla każdej grupy społecznej, a nie tylko dla prawników, a więc jego treści powinny być zrozumiałe dla każdego człowieka. Teksty prawne są zwykle pisane dość skomplikowanym językiem i niekiedy rozumiały tylko dla osób zawodowo posługujących się specjalistycznym słownictwem. Takie zjawisko jest pewnym zagrożeniem, ponieważ może doprowadzić do tworzenia podziałów między-

ludzkich lub wykluczeń społecznych. Stąd konieczność zastosowania innego, nowego podejścia do szeroko pojętego *design'u* prawa.

Nie chodzi tu o zmianę prawa, lecz przedstawienie go w jak najprostszy i najbardziej zrozumiały sposób dzięki różnym narzędziom, metodom i technikom. Takie podejście pozwala także na wzmocnienie pozycji osób, które dopiero wchodzi w interakcje z systemem prawnym i chciałyby podejmować trafniejsze decyzje dzięki właściwie przygotowanym i przeanalizowanym informacjom.

JAK Z NIEGO KORZYSTAĆ?

Jasna i zrozumiała komunikacja, to podstawa, szczególnie w kwestii interpretacji prawa, którego język jest niestety daleki od uniwersalności. Można to dostrzec na co dzień, mając styczność z różnymi umowami, kontraktami, regulaminami, itp. Dlatego tym bardziej język interpretacji przepisów prawnych powinien być prosty i klarowny, aby zniwelować barierę w jego zrozumieniu.

Zakres zastosowania *legal design* jest dość szeroki. Kształtują go nie tylko prawnicy, lecz także projektanci, psychologowie, lingwiści i szereg innych ekspertów z różnych dziedzin.

Połączenie wiedzy prawnika ze zdolnościami projektanta takimi jak kreatywność czy poczucie estetyki, pozwoli stworzyć dla odbiorcy przyjazne i angażujące usługi prawne. Możliwości są niemal nieograniczone. W praktyce oznacza to głównie:

- unikanie języka stricte prawniczego poprzez zastępowanie go językiem prostym, zrozumiałym, zawierającym potoczne określenia;
- wizualizacja treści poprzez grafiki, wykresy, diagramy, ilustracje, tabele, mapy myśli;
- uwypuklenie istotnych elementów w dokumencie np. poprzez pogrubienie, podkreślenie, kursywę oraz akcenty kolorystyczne;
- stworzenie jak najprostszej formy oraz struktury dokumentu, np. dzięki stosowaniu wypunktowań, nagłówków, paragrafów;
- dbanie o czytelność dokumentu poprzez stosowanie spójnej kolorystyki i czcionki.

Ważne jest to, by wszystkie powyższe elementy kładły nacisk na odbiorców tych treści. Teksty powinny być tworzone w taki sposób, aby odbiorca znalazł to, czego potrzebuje, zrozumiał to, co przeczytał i finalnie wykorzystał zdobytą wiedzę



zgodnie ze swoimi potrzebami. Takie podejście pozwoli również przekonać go do postępowania zgodnie z prawem oraz stosowania go na co dzień. Ma być prosto, zrozumiale i przyjemnie.

Co do zasady, nie ma takiego dokumentu, którego nie dałoby się uprościć. Jednak trzeba pamiętać o tym, że istnieją pewne kategorie dokumentów, które z uwagi na swoją rangę, wymagają zachowania profesjonalizmu, a więc formalnych treści oraz poważnego wyglądu. Co więcej, nie każdy może stworzyć dokumenty w ramach koncepcji *legal design*, ponieważ wymaga to posiadania określonej wiedzy i umiejętności, jednak na szczęście – każdy może być ich odbiorcą.

NIKT NIE POWINIEN NIE ROZUMIEĆ PRAWA

Główną funkcją systemu prawa jest regulacja życia społecznego w różnych aspektach, dzięki określeniu pewnych ram funkcjonowania społeczeństwa. Jedną z podstawowych zasad prawa głosi, że „nieznajomość prawa szkodzi” (łac. *ignorantia iuris nocet*). Niestety skomplikowana natura wielu kwestii prawnych sprawia, że statystyczny Polak ma problem ze zrozumieniem języka prawa, dlatego dość rzadko sięga po przepisy prawne, ponieważ liczne paragrafy, odwołania, niezrozumiałe definicje i sformułowania są dla niego zbyt trudne do interpretacji. Ponadto, w języku potocznym często znaczą one zupełnie coś innego.

A więc stworzenie przejrzystego oraz intuicyjnego *design'u* prawa jest szczególnie pomocne, by przeprowadzić odbiorcę przez język, którego może nie rozumieć, np. z powodu braków edukacyjnych. Postać wizualna języka prawa z pewnością zniweluje ten problem i przykuje uwagę większej ilości odbiorców.

Zastosowanie koncepcji *legal design* może przynieść wiele korzyści zarówno firmom, jak i klientom. Dla firm oznacza to przede wszystkim, że ich klienci bądź partnerzy biznesowi będą mogli łatwiej zrozumieć treść umów czy regulaminów. To z kolei zmniejszy ryzyko nieporozumień, które w najgorszym wypadku mogłyby doprowadzić do sporów lub długotrwałych i kosztownych procesów sądowych. Natomiast z punktu widzenia pracowników, łatwiejsze i szybsze stanie się dla nich zrozumienie zasad i procedur panujących w danej firmie. Z kolei klienci chętniej zaufają firmie, która zaprezentuje im zrozumiałe i przejrzyste dokumenty, co usprawni proces ich obsługi.

LEGAL DESIGN VS LEGAL DESIGN THINKING

To pozornie podobne pojęcia, które często są ze sobą utożsamiane. Mimo wzajemnego powiązania w kwestii obszaru, którego dotyczą, różnią się od siebie zakresem. Pojęcie *legal design* jest węższe. Określa tylko pewne podejście projektowe, którego istotą jest tworzenie użytecznych i zrozumiałych dla odbiorców dokumentów czy usług prawnych,

dzięki wykorzystaniu rozmaitych narzędzi, np. tabel, diagramów, infografik, itp.

Natomiast pojęcie *legal design thinking* ma szerszy zakres, gdyż wykorzystuje ono wspomniane wcześniej podejście projektowe po to, by tworzyć optymalne rozwiązania, dostosowane do potrzeb finalnych odbiorców. To swoisty proces projektowy składający się z następujących faz: rozumienia, definiowania, nowatorskiego szukania rozwiązań, tworzenia prototypów i testowania rozwiązań. Całokształt tych działań pozwoli rozwijać wiedzę, umiejętności oraz kompetencje w zakresie procesu myślenia projektowego dla sektora prawniczego.

Obserwowane na rynku produktów i usług wszelkiego rodzaju zmiany spowodowane cyfryzacją, automatyzacją i wizualizacją procesów życia społecznego, nie mogły ominąć także branży prawniczej. Stale zmieniające się otoczenie społeczno-gospodarcze niemal wymusza zastosowanie coraz nowszych rozwiązań spełniających oczekiwania odbiorców, którzy współtworzą rynek prawniczy B2C oraz B2B. To z kolei przekłada się na konieczność stworzenia nowych produktów czy usług prawniczych, które pozwolą na zbudowanie przewagi konkurencyjnej oraz usprawnienie procesów i procedur za pomocą właściwego *design'u*. Trzeba pamiętać o tym, że komunikacja produktów prawnych nie opiera się tylko na treściach, słowach czy klauzulach, lecz przede wszystkim na zrozumieniu zawartości prawa przez wdrożenie w komunikacji zasad projektowych. ■

SZKOLENIE I STOPNIA

ONLINE

Ty decydujesz, gdzie i kiedy
zdobywasz wiedze



ZAPISZ SIĘ



NARODOWY
BANK POLSKI

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

Partner Strategiczny



Partner Projektu

PFR Fundacja